

OPINIE

Mój przyjaciel Eric Weil napisał w swej rozprawie: „Człowiek jest istotą rozumną, nikt jednak nie udowodnił, że ludzie są istotami rozumnymi”. Historia, w której żyłem, którą próbowałem zrozumieć, była w gruncie rzeczy bezrozumnym zamętem, pełnym furii i zgiełku. Zgiełk i furia zawsze towarzyszyły historii ludzi. Dwudziesty wiek pod pewnymi względami był jeszcze straszniejszy niż inne stulecia. Nie jest to jednak powód do rozpacz.

Przez tych parę tysięcy - od kiedy liczy się historia bardziej złożonych społeczności - zawsze mieszały się ze sobą heroizm i absurd, świętym towarzyszyły potwory, wielkim intelektualnym odkryciom - ślepe pasje. Taka jest ludzkość, taka jest historia.

Raymond ARON



Ameryka:
przedstawiamy
Patrica
BUCHANANA

s.7-9



Michael
ABDALLA
Losy
Asyryjczyków
cz.1
s.14-15



Raymond
ARON
Podział
Europy
cz. 1
s.16-20



SOLIDARNOSC WALCZĄCA

MIESIĘCZNIK NR 3 (289) ROK XI MARZEC 1992 r., cena 2800 zł

GOSPODARKA — BEZ GOSPODARZA Z dr. Aleksandrem Jędraszczykiem ekonomistą, rozmawia Stanisław Sauć

Stanisław Sauć: *O stanie naszej gospodarki głośno jest nie od dzisiaj. Kolejne zmieniające się ekipy rządowe, jak zapewniły, tym sprawom gospodarczym, miały poświęcić najwięcej uwagi i wysiłku. Niewiele niestety, z tych zapewnień wynikało. Zapaść ekonomiczna pogłębia się...*

Aleksander Jędraszczyk: Co gorsza, na dzień dzisiejszy nie ma nawet żadnych symptomów, żadnych najmniejszych znamion ożywienia gospodarczego. Nadal gospodarka w naszym kraju jest pustym słowem. Sądzę, że złożyły się na to dwie przyczyny. Po pierwsze, dzisiejsze elity wywodzą się generalnie z ludzi, których nonszalancja ekonomiczna nie zna granic. Są to raczej eseiści, politolodzy, komentatorzy, którym wydaje się, że na sprawach gospodarczych się znają. Podam Panu przykład. Nic nie mając przeciwko Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowemu i wszystkim jego nobliwym postaciom, z nimi o ekonomii pan nie porozmawia, ponieważ ich edukacja w tej materii kończy się na paru pojęciach i sloganach. Pan Niesiołowski i pan Łopuszański, którzy dzielnie walczą przeciwko aborcji — i słusznie — gdy przychodzi do głosowania nad sprawą podatku od dochodów osobistych w ogóle się do tego nie włączają. Ta ustawa przechodzi w postaci, w której nie uwzględnia się socjalnego aspektu rodziny — np. wielodzietności, nie ma zwolnień na uczące się dzieci, matkę itd. Wobec tego walcząc przeciwko aborcji przepuszczają jednocześnie podatek, który totalnie zwalcza „dzietność” rodziny, który najbardziej

preferuje albo samotnego mężczyznę albo bezdzietne małżeństwo! Kompletny absurd! Jest też druga przyczyna, tego że nadal żyjemy w ekonomicznej fikcji. Otóż w różnych międzynarodowych gremiach, jak MFW i innych ustalono, że nie może być mowy o żadnej suwerenności gospodarczej Polski. Mają tu być jakieś chyba „dzikie pola”.

Stąd ich diagnoza, że wszystko co tu było, cały nasz przemysł, jest kompletnie nic nie warte. To, co przedstawia jakąś wartość to jest w zasadzie infrastruktura — ludzka i inna. Wobec tego kasują od dwóch lat totalnie nasz przemysł, nie proponując w to miejsce dokładnie niczego. Co więcej, do piachu idą przede wszystkim bardzo dobre gałęzie przemysłu. Okazuje się np., że dla Krakowskich Zakładów Tytoniowych, gdzie akurat ostatnio najczęściej bywałem, nie ma kredytu na restrukturyzację, mimo że zakłady te potrzebują już niewiele, aby stać się pełnokrwistym przedsiębiorstwem europejskim. Na dodatek wszystkie urzędy w Polsce zabiegają w interesie zachodnich firm tytoniowych, które chcą nas wykupić, a minister rolnictwa Adam Tański miast puszczać kapitał zagraniczny w restrukturyzację 7 polskich fabryk tytoniowych, wydaje obcym firmom zezwolenie, ażeby konfekcjonowały swój tytoń na terenie Polski, a tym samym za darmo zdobyły rynek polski. I tak doprowadza się do zniszczenia jednej z dużych gałęzi naszego przemysłu — obszaru pewnego źródła dochodu, której niewiele brakuje, ażeby w 3 lata zdążyła na start do EWG. To jest działanie w imieniu obcego

NUMERY „SW” w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym

Numer 239 tygodnika „SW” z kwietnia 1990 r. badany jest przez Centralne Laboratorium Kryminalistyczne w Warszawie na zlecenie prokuratora J. Bublika z Prokuratury Wojewódzkiej w Toruniu. Dwa egzemplarze naszego pisma zabrano w czasie rewizji przeprowadzonej w Redakcji SW. Ekspertyza ma wykazać na jakich maszynach wydrukowano deklarację z nazwiskami 23 poznańskich sędziów i prokuratorów oskarżonych między innymi przez PWiSW o współpracę z komunistycznym reżimem, niekompetencję lub czerpanie korzyści osobistych ze sprawowanych stanowisk.

Co ma wspólnego deklaracja z wydrukowanym rok wcześniej numerem tygodnika „Solidarność Walcząca” pozostanie zapewne tajemnicą prokuratora Bublika.

interesu, które odbywa się w Polsce i jest dokonywane rękami polskich urzędników. Wszystko to dzieje się przy całkowitej inercji lub, co gorsza, ku zadowoleniu naszych elit, które oparły się o łzawy podręcznikowy monetaryzm, albo o kilka innych prawd objawionych, jak choćby o magiczne słowo „rynek”.

cd. str. 4-5

w numerze:

AKTUALIA

Numery „SW” w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym	1
R. Lazarowicz — Sąd Najwyższego kpiny z praworządności	2
Wyborcze rozliczenie	3
M. F. — Uwagi o Sejmie	3
Zarząd Główny PW	4
Poznańskie kolegia	6
B. Bakula — Trzecia droga — na sowieckie Kuryle	6
E. Wulfański — Błędy SW	11

UWAGI NA MARGINESIE

K. B. — Program

ROZMOWY W CZTERY OCZY

Gospodarka bez gospodarza — mówi dr A. Jędraszczyk 1,4-5

HISTORIA

Z. Lazarowicz — Sędziowie i kaci	2, 4
R. Lazarowicz — Głowę w mur ..	10
M. Abdalla — Losy Asyryjczyków cz. 1	14-15
S. McConnell — w hołdzie dla Raymonda Arona	16
J. L. Młssika i D. Wolton — O Raymondzie Aronie	16
R. Aron — Podział Europy	16-20

AMERYKA

(żuk) — Patrick J. Buchanan: człowiek z zasadami	7
J. Hart — To może się przydarzyć George'owi Bushowi w tym roku ..	8
P. Buchanan — Czy istnieje lekarstwo na chorobę socjalizmu	8-9
Amerykańska polityka post-sowiecka	9-10

LISTY DO REDAKCJI

M. Kowalewski	11-12
Zb. Demidow	12
Z. Adamowicz	12-13
I. Brodacka-Falzman	13
J. A. Tomaszewicz	13

Serdecznie dziękujemy za wpłaty na fundusz wydawniczy pisma: p. Stefanowi Buchholzowi - 20\$, R.L. - 100.000

Przepraszamy Pana Andrzeja Kostrzewskiego za brak informacji o pierwodruku jego artykułu. Ukazał się on w piśmie „Orzeł Biały” w Krakowie.

Sądu Najwyższego kpiny z praworządności

Sąd Najwyższy odrzucił protesty wyborców w sprawie kandydowania Ryszarda Czarneckiego na posła w ostatnich wyborach. O co chodzi? Otóż ordynacja wyborcza do Sejmu zawierała przepis mający uniemożliwić Stanisławowi Tymińskiemu kandydowanie w wyborach — zakazywała udziału w wyborach osobom, które w ciągu ostatnich pięciu lat przebywały na stałe poza krajem. Zasada ta — choć uznać ją trzeba za, co najmniej nierozsądną — skoro już została uznana za prawo, odnosi się bezwzględnie do wszystkich, których dotyczy, nie zaś tylko wybranych.

Ryszard Czarnecki przez ponad dwa lata przebywał w Wielkiej Brytanii i był tam nawet przewodniczącym jednej z organizacji polonijnych. Powrócił mniej więcej w tym samym czasie co Stan Tymiński. Gdy jednak temu ostatniemu uniemożliwiono kandydowanie do Sejmu (właśnie na podstawie ordynacji), zgłoszenie kandydatury Czarneckiego przyjęto bez oporu, a ostatnio „przyklepał” to swą decyzją Sąd Najwyższy.

W uzasadnieniu nagięcia prawa dla „naszego” kandydata, sędzia przewodniczący stwierdził, że „zachował on związek z krajem i miał takie poczucie psychiczne”. Pytanie zatem, kto jest w stanie ocenić intensywność tego związku (trudno przecież zaprzeczyć związkowi Tymińskiego z krajem), i kto decyduje, że jest ona wystarczająca?

Powszechność obowiązywania prawa to jedna z podstaw, na których bazuje demokracja. Nie wolno tego ignorować czy traktować instrumentalnie. Jest rzeczą wręcz zdumiewającą, że dopuszcza się tego jedna z naczelnych instytucji mających w naszym kraju właśnie strzec praworządności — Sąd Najwyższy swoim ostatnim werdyktem udowodnił, że prawo nadal jest w Polsce traktowane instrumentalnie, a równość wobec niego poszczególnych obywateli pozostaje tylko martwą literą.

Na marginesie: na szczególną drwinę zakrawa wyrażona przez Czarneckiego po wyroku SN satysfakcja z faktu, że „mamy jednak w Polsce niezawisłe sądy”.

Romuald LAZAROWICZ

SĘDZIOWIE I KACI

W „Nowym Świecie” (Nr 29 z 4.02.92 r.), w artykule „Zbrodniarze byli ideowi, młodzi i niedouczeni” Andrzej Karnkowski pisze o zbrodniach popełnionych w latach czterdziestych przez oficerów śledczych tzw. Informacji Wojskowej i o paradii procesu, który im wytoczono w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Prasa ogólnikowo i obłudnie wówczas zapewniała, że za swe czyny ponieśli oni odpowiedzialność.

A. Karnkowski przytacza postanowienie Najwyższego Sądu Wojskowego z procesu oficerów Informacji prowadzących wcześniej tzw. „sprawę bydgoską” i „zamojsko-lubelską” i stosujących wobec aresztowanych tortury, bicie i zniewagi. Proces tych oprawców, których nazwiska jeszcze dziś, po latach, u niektórych Polaków wywołują „gęsą skórę”, toczył się w Warszawie w dniach 17 i 18 października 1958 r. Przed sądem stanęli wówczas: płk Stefan Kuhl, płk Anatol Fejgin, płk Władysław Kochan, płk Mateusz Frydman, mjr Józef Kulak, mjr Marian Urbaniak, mjr Mieczysław Lis, mjr Czesław Markiewicz, kpt. Zygmunt Lindauer, kpt. Jan Jurkiewicz.

Prokurator Generalny PRL, powołując się na ustawę amnestijną z 22 listopada 1952 r. wniósł o umorzenie wobec nich postępowania karnego, a zespół sędziowski „uwzględniając dodatkowe okoliczności łagodzące” skwapliwie się do tego wniosku przychylił.

Aby zrozumieć przyczyny tej sędziowskiej super-pobłażliwości, warto przyrzeć się składowi sądu. Przewodniczył płk Zbigniew Furtak, a towarzyszyli mu płk Władysław Sieradzki, mjr Jerzy Drohomirecki.

Tak wielkoduszny w 1958 r. wobec zbrodniarzy Informacji płk Zbigniew Furtak nie jest postacią nieznaną — w latach czterdziestych i pięćdziesiątych należał do najokrutniejszych sędziów ówczesnych sądów wojskowych, specjalizujących się w sprawach politycznych. To on osobiście odpo-

wiada za liczne wyroki śmierci i długoletnich kar więzienia, orzekane wobec ludzi niewinnych, najczęściej wobec żołnierzy AK zasłużonych wieloletnią walką z okupantami.

Rozprawy z udziałem sędziego Furtaka z reguły prowadzone były z pogwałceniem najbardziej podstawowych zasad i regulaminów proceduralnych. Oskarżonym uniemożliwiano wszelką obronę, a rozprawy stanowiły kontynuację brutalnych metod stosowanych w śledztwie.

13 listopada 1950 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie — w składzie: przewodniczący mjr Zbigniew Furtak (wówczas jeszcze major), ławnik strz. Stanisław Osak, ławnik Michał Rudomiło — skazał na śmierć kpt. Gracjana Fróga („Szczerebiec”, bohaterki dowódca III Brygady Wileńskiej AK) za działalność niepodległościową w organizacji „Mobilizacyjny Ośrodek Wileńskiego Okręgu AK”. Wyrok został wykonany 11 maja 1951 r.

Osiem lat później, 17 stycznia 1959 r. kpt. Fróg został niewinny i pośmiertnie zrehabilitowany przez Sąd Wojewódzki w Warszawie, a w 1974 r. minister obrony narodowej PRL przyznał mu Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami oraz Krzyż Walecznych. Odznaczenia te uprzednio nadał kpt. Frógowi komendant Okręgu Wileńskiego AK gen. „Wilk”. Trzeba zaznaczyć, że kpt. Fróg przed procesem przeszedł brutalne śledztwo.

Innym przykładem orzecznictwa sędziego Furtaka może być proces przywódców IV Zarządu Głównego WiN w Rejonowym Sądzie Wojskowym w Warszawie, w dniach 5-14 października 1950 r. W skład sądu wchodził: płk Aleksander Warecki — przewodniczący, mjr Zbigniew Furtak i mjr Władysław Tryliński, oskarżycielem był płk Jerzy Tramer. Oskarżenia to ośmiu mężczyzn i dwie kobiety. Byli to: ppłk Łukasz Ciepliński, prezes Zarządu Głównego WiN, b. inspektor

cd. str. 4

WYBORCZE ROZLICZENIE

Komitet Wyborczy
PARTII WOLNOŚCI
Lista Wyborcza nr 46

Państwowa
Komisja Wyborcza

Sprawozdanie finansowe
o kosztach związanych z prowadzeniem kampanii wyborczej do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej.

I. 1. Komitet Wyborczy zarejestrował 24 okręgowe listy kandydatów na posłów w następujących okręgach wyborczych:

numery okręgów wyborczych: 1, 3, 4, 6, 7, 8, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 18, 19, 20, 22, 25, 29, 30, 31, 33, 34, 35, 36

II. Źródła pozyskania funduszy

1. Środki pochodzące od tworzących Komitet Wyborczy:

Wyborców, partii, organizacji politycznych lub organizacji społecznych
2. Środki własne kandydatów 5 mln zł.

3. Kredyt bankowy oraz pożyczki pozabankowe 30 mln zł.

4. Publiczna zbiórka środków finansowych, w tym darowizny, sprzedaż cegiełek na fundusz wyborczy, znaczków, folderów/ 4 mln zł

5. Pozostałe:

środki przekazane przez przyjaciół Solidarności Walczącej i Partii Wolności w kraju i za granicą 60 mln zł

Ogółem 99 mln zł

6. Osoba fizyczna, która przekazała Komitetowi Wyborczemu środki w wysokości ponad 5 mln zł

Tadeusz Warszawa, Londyn W3, Cak Tree Court, Pierre p.Rd. 20 mln zł

7. Osoba prawna, partia, organizacja polityczna lub społeczna, która

przekazała Komitetowi Wyborczemu środki finansowe

III. Rodzaj wydatków

1. Funkcjonowanie Komitetu Wyborczego 1,5 mln zł

2. Funkcjonowanie agend terenowych Komitetu Wyborczego 4 mln zł

3. Opłata za korzystanie ze środków masowego przekazu

— prasa 1 mln zł

— radio —

— telewizja 3 mln zł

4. Wykonanie i rozprowadzenie:

— plakatów wyborczych 30 mln zł

— wydawnictw /foldery, ulotki/ 40 mln zł

5. Organizacje spotkań z wyborcami /wynajęcie sali, sprzętu, nagłośnienia/ 1,5 mln zł

6. Przejazdy kandydatów i osób towarzyszących 11 mln zł

7. Pozostałe /określić jakie/ rozmowa telefoniczna 8 mln zł

telefaks 2 mln zł

Ogółem 99 mln zł

Oświadczam, iż stosownie do postanowienia art. 131 Ordynacji Wyborczej do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej środki finansowe przeznaczone przez Komitet Wyborczy na prowadzenie kampanii wyborczej nie pochodzą z: budżetu państwa i państwowych jednostek organizacyjnych, budżetu gmin i sejmików samorządowych oraz związków komunalnych, funduszy państwowych podmiotów gospodarczych ani ze źródeł zagranicznych.

Wrocław, dnia 27.01.1992 r.

KORNEL MORAWIECKI

Przewodniczący

PARTII WOLNOŚCI

ul. Kotlarska 41, Wrocław

UWAGI NA MARGINESIE

PROGRAM

Rząd z wcześniej złożoną obietnicą przedstawił Sejmowi projekt założeń polityki gospodarczej na rok 1992. Miesięczny cykl produkcji „Solidarności Walczącej” sprawia, że nim egzemplarz ten trafi do rąk Sz. Czytelników będzie już właściwie po wszystkim. Jednakże trzymiesięczna zwłoka /od chwili sformowania rządu/ nasuwa raczej niewesołe refleksje. Oto jedna z najsilniejszych partii startuje do wyborów z ambicją osiągnięcia takiej liczby głosów, by stać się partią współrządzającą. Udać jej się w końcu sformować rząd. I co się okazuje? Okazuje się, że poważna partia polityczna posiadająca zaplecze finansowe i intelektualne nie ma właściwie programu wyborczego; nie zna faktycznego stanu państwa. I dopiero po trzech i pół miesiąca od daty wyborów udać jej się skłębic jako taki program. Czymże więc był jej program wyborczy? Zlepkiem sloganów? Kiełbasą wyborczą? Stekiem kłamstw? I na co lub na kogo głosowali wyborcy? Moim zdaniem świadczy to o głębokiej patologii naszego życia politycznego i nieodpowiedzialności polskiej klasy politycznej zrodzonej z umowy „Okrągłego Stołu”. Decyzje polityków nie są pochodną wyborów polskiego społeczeństwa, lecz wynikają tylko z realizacji partykularnych interesów grup politycznych. O tym kształcie życia politycznego zadecydowała jego geneza - porozumienie części opozycji uznanej za reprezentację społeczeństwa z systemem komunistycznym. O znaczeniu poszczególnych opcji politycznych wewnątrz opozycji nie decydowała ich słuszność czy poparcie społeczne, lecz poparcie... władzy komunistycznej. Ona poparła najbardziej dogodną dla siebie opcję, czyli najbardziej ugodową opcję polityczną. Skutki tamtych decyzji odczuwamy wszyscy do dzisiaj.

Zastanowić się może wypada nad samą treścią dokumentu, który stał się podstawą tak pesymistycznych wniosków. Z wyżej wspomnianych powodów nie chcę zastanawiać się nad szczegółami programu gospodarczego rządu - zrobi to na pewno codzienna prasa. Chciałbym jedynie skupić się, moim zdaniem na kwestii kluczowej w założeniach rządu. Otóż premier Olszewski przedstawiając projekt założeń stwierdził, że:

„nie sprawdziło się założenie, że żywiołowy mechanizm rynkowy oczyści gospodarkę z pozostałości danego systemu totalitarnego”.

Realizowany od stycznia 1990 roku plan Balcerowicza, „dla którego nie było alternatywy” może być wszystkim, tylko nie drogą zbudowania systemu demokratycznego kapitalizmu. Który to bowiem „monetarysta” ustala sztywny kurs dolara, za pomocą administracyjnych decyzji, zamraża wzrost płac itd. Taka polityka nazwana prokapitalistyczną doprowadziła naszą gospodarkę do zapaści. Nic więc dziwnego, że nasze społeczeństwo odczuwa niechęć już do samego słowa kapitalizm. Ponieważ nigdy tak naprawdę nie wprowadzono mechanizmów rynkowych, nie mogły one oczyścić gospodarki z mechanizmów i struktur totalitarnych. Dlatego więc ten program jest kontynuowany przez blisko dwa lata. Mechanizm recesyjny poprzez politykę firmowaną przez Balcerowicza /nie znaczy, że przez niego uświadomiana/ doprowadziły do zubożenia społeczeństwa i obniżenia wartości polskich przedsiębiorstw. Umożliwić to ma transformację systemu komunistycznego i ułatwić przemianę dawnej nomenklatury w nową warstwę prywatnych właścicieli. Temu w istocie służyła ugoda „Okrągłego Stołu”. /K.B./

Uwagi o Sejmie

Trudno powiedzieć coś pozytywnego o Sejmie. Rozczłonkowany i podzielony, skłócony i przesadnie rozdyktowany nie potrafi skutecznie zajmować się sprawami państwa. Parlamentarzyści popisują się krasomówstwem, rozbudzają nierealizowane oczekiwania i często zapominają, że ich rolą jest służba, a nie dbanie o własne korzyści. Dochodzi do licznych absurdów. Przy postępującym zubożeniu posłowie zastanawiają się nad podwyżką własnych apanaży. Długo nie umieją obsadzić istotnych dla funkcjonowania państwa stanowisk. W imię partyjnych układów utracą się takich ludzi jak np. Romaszewski. Posłów nie stać na podejmowanie niepopularnych decyzji, jak w przypadku uchwalenia budżetu, a niektóre kluby uzależniają swoje poparcie od utrzymania intratnych stanowisk.

Sejm traci prestiż, a coraz liczniejsze głosowania, do których nie może dojść z powodu braku quorum, puste ławy i kompromitujące prowadzenie obrad

przez niektórych wicemarszałków powodują, że siłą rzeczy przygotowuje się grunt pod pozakonstytucyjne rozwiązania. Efektem tego, może być sytuacja, gdy Sejm albo dobrowolnie się ubezwłasnowolni uchwalając nadzwyczajne pełnomocnictwa dla rządu, albo zdolny do destrukcji, tak zbrzydnie społeczeństwu, że stanie się możliwe jego odsunięcie przy braku silnego sprzeciwu.

Ten Sejm miał do spełnienia kilka zadań. Powinien wyłonić rząd i nie przeszkadzać mu, lecz dać rządzić. Powinien przygotować i uchwalić konstytucję i prawa najważniejsze dla rozwoju kraju. Zamiast tego mamy do czynienia z kompromitującymi waśniami personalnymi i zajmowaniem się szczegółami, które spoczywać powinny w gestii rządu. Jedyne jaśniejsze miejsce na tym ciemnym obrazie, to fakt, że ten Sejm, mimo wszystko, rząd wyłonił. Jak na pierwszy Parlament III Rzeczypospolitej to jednak trochę mało. /m./

SĘDZIOWIE I KACI - cd ze str.2

Inspektoratu AK Rzeszów – kawaler Orderu Krzyża Virtuti Militari, jego zastępca mjr Adam Lazarowicz – b. dowódca 5 PSK AK Dębica, mjr Mieczysław Kawalec – b. komendant Obwodu AK Rzeszów, kpt. Franciszek Błażej – prezes Obszaru Południowego WiN – oficer operacyjny Inspektoratu AK Rzeszów, kpt Józef Batory – b. oficer łączności komendy Obwodu AK Kolbuszowa, por. Karol Chmiel – b. komendant Obwodu BCh Dębica, a po scaleniu zastępca komendanta Obwodu AK Dębica, por. Józef Rzepka – adiutant Inspektoratu AK Rzeszów, w akcji "Burza" dowódca zgrupowania partyzanckiego w lasach bratkowickich, kpt. Ludwik Kubik – b. dowódca kompanii w I Rejonie 5 PSK AK, Janina Czarnecka i Zofia Michałowska – łączniczki-kurierki.

Wszyscy oskarżeni przebyli trzyletnie okrutne śledztwo, na skutek którego prezes ppłk Łukasz Ciepliński ogłuchł na jedno ucho, a na konfrontacje z niektórymi świadkami nie był w stanie dojść o własnych siłach – przynoszono go na noszach. Kpt. Franciszek Błażej był bity do tego stopnia, że – jak wspominają współwięźniowie – ciało odchodziło od kości, a por. Józefa Rzepkę doprowadzono na skraj obłąd. Oskarżonym nie dano przed procesem akt do wglądu. Na rozprawie ppłk Ciepliński oświadczył: *"Nie znam ich zupełnie. Protokoły podpisywałem pod przemocą fizyczną, treści większości nie pamiętam, byłem nieprzytomny"*. Takie oświadczenie nie spowodowało bynajmniej przerwania rozprawy w celu uzupełnienia śledztwa, wszelkie zaś próby obrony oskarżonych były przerywane.

Minister sprawiedliwości w rządzie Mazowieckiego – Aleksander Bentkowski, po przeglądnięciu akt w 39 lat po procesie, napisał w w tygodniku "San" (Nr 9/19): *"To był straszny sąd. Pięć dni wystarczyło, by wysłuchać dziesięciu oskarżonych, kilkudziesięciu świadków, głosów stron, a w szóstym dniu wydać wyrok"*.

Spośród dziesięciu oskarżonych siedem osób zostało skazanych na śmierć, jedna – na dożywotnie więzienie, kobiety – na 15 i 12 lat więzienia. Wyroki śmierci zostały wykonane 1 marca 1951 r.

Czyż w świetle tych wyroków można się dziwić, że wydane przez tych samych sędziów wyroki na oprawców z UB i Informacji Wojskowej w tych nielicznych wypadkach, gdy stawali przed sądem, były tak łagodne?

Kto wówczas zadrwił sobie ze sprawiedliwości i z cierpień ofiar, że do orzekania w sprawach zbrodni i łamania prawa wyznaczył zbrodniarzy?

Sędziowie Furtak i Warecki to "specjaliści" od sądzenia patriotów polskich, dyspozycyjni, krwawi sędziowie. Tam, gdzie oni sądzili, oskarżeni nie mieli żadnych szans.

Wspomniane umorzenie sprawy katów z Informacji musiało być ewenementem w ich sędziowskich karierach. Tu jednak sądzili jakby

samych siebie – byli więc niezwykle wyrozumiali i żadnych kar nie orzekli.

Sędzia Warecki swoimi drakońskimi wyrokami w procesach politycznych sławił się już w roku 1948 we Wrocławiu, gdzie w dniach 6, 7 i 9 sierpnia przewodził (pozostali sędziowie to: kpt. Zygmunt Bukowiński i chor. Tadeusz Piasecki) procesowi działaczy Dolnośląskiego Okręgu WiN: mjr. Ludwika Marszałka i siedmiu jego podwładnych. Wydał tam trzy wyroki śmierci (wszystkie wykonano 27.11.48 r.) oraz kary wieloletniego więzienia.

Za rewolucyjną gorliwość sędzia Aleksander Warecki został awansowany na przewodniczącego Rejonowego Sądu Wojskowego w Warszawie w stopniu pułkownika, sędziego Zbigniewa Furtaka nagrodzono także stopniem pułkownika i przeniesieniem z Rejonowego do Najwyższego Sądu Wojskowego.

W latach 1989–91 spora część – czy nie większość? – akt dotyczących m.in. działalności Informacji Wojskowej oraz stalinowskich sędziów i prokuratorów wojskowych została z premedytacją zniszczona. Dokonała tego grupa pułkowników, kierowana przez szefa WSW, byłego funkcjonariusza Informacji gen. Edmunda Bułę. Tym razem więc, na odwrót niż w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, to kat chroni swych współników – sędziów! Grupa Buły ma obecnie stanąć przed sądem. Ważne jest jednak to, że jeszcze w tych czasach, dziś, zaciera się ślady i osłania tamtych zbrodniarzy. Nie bez celu. Ci ludzie w większości żyją wśród nas, wymagają szacunku dla swych siwych głów, z dumą noszą odznaczenia i ordery, z tupetem i dezynwolturą wypowiadają swe polityczne przekonania. Niektórzy jeszcze do niedawna w służbie czynnej, zażywają dziś spokoju, żyją z wysokich emerytur i robią interesy. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że w wypadku szczęśliwego dla nich zakrętu historii, w większości z ochotą powróciliby do swej krwawej roboty. I sędziowie, i kaci – zresztą w ich przypadku to naprawdę wszystko jedno.

Zbigniew LAZAROWICZ

Zarząd Główny PW

22 lutego odbyło się kolejne zebranie Zarządu Głównego PW. Zgromadzeni oceniali ostatnie posunięcie rządu. Krytyczne zdania dotyczyły przede wszystkim zbytniego trzymania się przez rząd Olszewskiego rozwiązań poprzednich ekip. Nie brakowało opinii, że wbrew

zapewnieniom nie jest to rząd przełomu a kontynuacji.

Pozytywnie oceniono usunięcie ministra Kołodziejczyka i opieraniu się przez premiera Olszewskiego naciskom ze strony Wałęsy zdecydowano że Partia Wolności nie będzie angażowała się w popieranie rządu mecena-sa Olszewskiego.

dr Aleksander Jędraszczyk: Gospodarka bez gospodarza

cd. ze str. 1

Tymczasem ten rynek niczego nie załatwi w gospodarce, która nie miała ani elementarnych cech rynkowych ani instytucji. Twierdząc, że to, co się u nas dzieje, jest zmiksowaniem trzech czynników: niekompetencji i nonszalancji gospodarczej, obcej agentury oraz łapówkarstwa. Myślę, że trzeci już rząd p. J. Olszewskiego nie będzie wolny od... tego raka.

SS.: *Wymieńmy przynajmniej niektóre z tych patologicznych zjawisk gospodarczych, o których pan mówi. Ostatnio np. karierę robi hasło „Polska aferowa”. Jak ocenia pan skalę tego zjawiska?*

AJ.: Jest faktem, że fundusze publiczne są marnotrawione i grabione jak nigdy dotąd. Myślę, że prazródłem tego zjawiska był „okrągły stół”. Umowy wówczas zawarte, obojętnie, tajne czy jawne, dawały wolną rękę nie tylko komunistom, ale dawały poczucie bezkarności i braku odpowiedzialności nowym elitom. One to, po dojściu do władzy, pierwsze co uznały to nie tyle uwłaszczyć obywateli, ile uwłaszczyć samych siebie. Stąd ogromna podatność tych elit „solidarnościowych” na elementarną korupcję i lekceważenie interesów publicznych; stały się one nośnikami tego, co ja nazywam zmianą grosza publicznego na prywatny w sposób malwersacyjny, patologiczny. We wszystkich urzędach państwowych, z którymi mam do

czynienia, widzę mnogość praktyk łapownictwa; za uzyskiwane z trudem kredyty, widzę łapówkarstwo w obszarze przekształceń własnościowych, bankowości itd. Szczególnie duże malwersacje mają miejsce w tym, co się nazywa parabudżetami. Są to wszystkie fundusze okobudżetowe takie jak: fundusz turystyki, kultury, restrukturyzacji przemysłu, banki, które powstały jak parabudżety państwowe – myślę tu np. o Polskim Banku Rozwoju. Banku kierowanym przez trzech obcokrajowców, których konta są po-dejrzane nie tylko w Polsce, ale również za granicą.

Jednym z tych parabudżetów był także Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, gdzie doszło wręcz do gigantycznej malwersacji i wytransferowania żywej gotówki. Przykładów tego można podać więcej. Znamy np. przypadki, że polski bank wypłacał dolary za nic nie warte ruble transferowe – skala tej operacji sięga sumy rzędu 11,5 miliarda dolarów. Znamy przykład pana Bagsika, którego weksle bez pokrycia na kwotę paru bilionów złotych zostały wpisane na stratę NBP przez prezesa banku centralnego, a wobec malwersanta nawet nie wszczęto postępowania.

Moim zdaniem „dzięki” tym wszystkim aferom, a przede wszystkim dzięki mechanizmom umożliwiającym ową grabież, zostało w ten sposób zmalwersowanych ok. 200 bilionów złotych. Gdyby to wszystko podsumować, na moje wyczucie i na mój nos człowieka opierającego się „mimo wszystko” na szczątkowych informacjach, ale za to mającego pewną intuicję jako stary księgowy, na dzień dzisiejszy nie mielibyśmy żadnego deficytu budżetowego – mimo takiego upadku gospodarczego.

SS.: *A prywatyzacja? Czy tu również mamy do czynienia z nadużyciami? Jeśli tak, czy nie należałoby tych strat pow-*

stałych w wyniku procesu prywatyzacji przyjąć — jak to czynią niektórzy ekonomiści i politycy — jako nieuniknionych kosztów transformacji systemowej?

A.J.: Zaczniemy od tego, że w ciągu ostatnich dwóch lat prawie 100% polskiego przemysłu przeszło z powodu braku pieniądza w obiegu z plusów na minusy. Wobec tego każdy kupiec może powiedzieć, że w sensie wartości kapitałowej te przedsiębiorstwa są zero warte, bowiem przynoszą ujemny dochód. To było podstawą tego, żeby zacząć proces ich zamykania, żeby w przyszłości oddać to wszystko za bezcen zagranicy. Dzieje się to pod jednym hasłem, że tutaj za 2-3 lata ma być taka sama struktura własności, jaka jest w rozwiniętych państwach EWG. Tymczasem dobrze wiemy, że takiej struktury własności Włochy nie osiągnęły do dnia dzisiejszego! W Polsce mamy do czynienia z tzw. doktrynerską prywatyzacją tzn. — zniszczyć wszystko, co państwowe, w domyśle oddać zagranicy to, co zechce wziąć, w żadnym wypadku nie kapitałowi krajowemu. A mnie się wydaje, że powinniśmy zacząć od tego, że po pierwsze: musimy mieć politykę przemysłową, wedle zasad której będziemy zapraszać kapitał zagraniczny; nie wszędzie, lecz tam gdzie jest nasz interes. Podstawową funkcją prywatyzacji nie są bowiem dochody skarbowe, nie jest żadna ideologia czy dogmat, tylko jest restrukturyzacja, czyli tyle prywatyzacji, ile jest niezbędne, by ukonkurencyjnić przemysł, uczynić go bardziej nowoczesnym. Po drugie: powinniśmy pamiętać, że prywatyzacja jest to proces społeczny. Tutaj trzeba by było zawrzeć, moim zdaniem, jakąś umowę społeczną. Tam, gdzie to było by tylko możliwe i celowe trzeba by zamieniać te rady pracownicze na kapitał pracowniczy, który by wchodził na 20-30%, a w szczególnych sytuacjach, w obszarze małego przemysłu może i na 100%. I oni dalej, z upływem czasu, albo by się zmieniali w kapitalistów, albo swoje akcje odstępowali — z pewnością sprzedali by je jednak lepiej. Tymczasem cały proces prywatyzacji — prywatyzacji, a nie uwłaszczenia społeczeństwa — szedł poza jakąkolwiek kontrolą społeczną. Pod pozorem, że wszystko jest takie skomplikowane technicznie, jakiś urzędnik państwowy pana Lisa, pana Kuczyńskiego albo pana Lewandowskiego załatwiał te sprawy z jakimś podejrzanym biznesmenem zachodnim powodując kolosalne straty w naszym majątku. Np. zakłady produkujące popularne „bobo-fruty” i odżywki dla dzieci sprzedawano za pół ceny jednej linii technologicznej, zakupionej wcześniej na Zachodzie. Załoga i management tej firmy dowiedzieli się o tym z gazet, a szwindlowatość ukryto pod pozorem fachowości i tajemnicy handlowej. Warszawską firmę „Norblin” (firma wysoko zautomatyzowana) sprzedano, a właściwie podarowano „Universalowi” za cenę 16 miliardów zł, co nie odpowiada nawet cenie gruntu. Kontrahentów, którzy za tę firmę chcieli dać 10 razy tyle skutecznie wyeliminował zagraniczny pośrednik — angielska firma Berkley. Na dodatek okazało się, że „Universal” nie ma pieniędzy na restrukturyzację „Norblina” i firma jest podtrzymywana przy życiu przez utraconego kontrahenta! Takich przykładów można podać znacznie więcej. To nie są wypadki przy pracy to jest metoda.

Już dwa lata czekamy na ustawę o skarbie państwa. Do tej pory bowiem nie ma organu, który zacząłby pełnić aktywnie funkcje właścicielskie wobec całej państwowej domeny przemysłowo-gospodarczej. Takich funkcji absolutnie nie pełni Ministerstwo Przekształceń Własnościowych. Boję się, czy obecny minister przekształceń własnościowych, zdoła to wszystko uporządkować. Czy zamiast iść do przodu nie zostanie wciągnięty w niekończący się proces porządkowania tego bałaganu, który objął. Na pewno nie pomogą mu w tym inni członkowie rządu, szczególnie ci odpowiedzialni za gospodarkę.

S.S.: Jak należy to rozumieć? Gabinet premiera Olszewskiego jeszcze na dobre nie zaczął działać, a już Pan go dyskredytuje?

A.J.: Z całym szacunkiem dla premiera Olszewskiego, który ma moją sympatię jako jedna z najciekawszych i najrzetelniejszych osobistości naszego życia publicznego, ten gabinet ma niewielkie szanse. Uważam, że ten rząd upadnie, ponieważ fatalnie zaczął, z fatalnymi ludźmi. W gospodarce mieliśmy dokonać zasadniczego manewru; tymczasem mają to robić ludzie z poprzedniej ekipy, poprzedniej ortodoksji myślenia. Gospodarkę powierzono — moim zdaniem świadomie — dwóm, trzem osobom, które są kompletnie niekreatywne, ludziom, którzy naszą rzeczywistość gospodarczą znają jeszcze mniej niż przypadkowi eksperci zachodni, którzy tu przebywają. Do nich należy minister Eysymontt i minister Lutkowski — jeden ekonometryk, drugi monetarzysta, modelowiec od spraw rzekomo kursów walutowych. Jestem przekonany, że będą oni do-

kładnie kontynuowali tę pseudozabawę pod tytułem: jak nie recesja to inflacja, czy raczej recesja i inflacja.

Tymczasem to w naszej rzeczywistości nie ma żadnego znaczenia. Spór: recesja czy inflacja jest zupełnie sztuczny. Tego typu skojarzeń nie można stosować w naszej gospodarce, która ma nadmiar czynników wytwórczych i która idzie do piachu z braku pieniądza. Obecnie mamy do czynienia ze stagnacją — i to stagnacją ujemną; mamy inflację i spadek dochodu narodowego. Oczywiście jest, że pewne wprowadzenie pieniądza musi tę gospodarkę ożywić; tu musi być ożywiony popyt rodzin, popyt inwestycyjny itd. To są te same czynniki wewnętrzne, na które można dzisiaj rozsądnie stawiać, które mogą ożywić gospodarkę. A jeżeli dochody budżetowe chce się tak załatwiać, jak się chce, czyli przez dalszą agresję fiskalizmu, to tym bardziej zdusi się elementy proprodukcyjne. Wysokie podatki, wysoki fiskalizm będzie obniżał chęć inwestowania z jednej strony, z drugiej zaś będzie coraz to większą grupę ludzi wyprowadzał z tej sfery produkcji w obszar nieopodatkowanej szarej gospodarki, albo gorzej — w obszar beneficjentów budżetowych. Jeżeli jakiś producent obłożony jest podatkiem dochodowym, a w międzyczasie gonią go koszty, spada mu popyt, to woli przenieść się do budżetu na milion zł zasiłku niż męczyć się bez sensu, kiedy jego kapitał i wysiłek nie znajdują ekwiwalentnego wynagrodzenia. Na dodatek, jeżeli nawet ktoś ma dostęp do kapitału, do kredytu, to jest on tak horrendalnie drogi, że jak ja to żartobliwie mówię, gdyby chłopu na Zamojszczyźnie pole zaczęło rodzić szczerzozłote kłosy, to i tak musi zbankrutować. Przy tej stopie kredytowej najprostsza kalkulacja ekonomiczna wskazuje, że nie ma być mowy o żadnym efektywnym biznesie. Poza tym to, co podważa istotę tego rządu, co wskazuje że nie będzie żadnego przełomu to fakt, że to państwo nie tworzyło ram, celów własnej polityki przemysłowej nadal tego nie czyni. Przecież to pan Eysymontt, jak się wydaje główny człowiek od gospodarki, był przez rok szefem CUP i nic w tym kierunku nie zrobił. A przecież w ramach pewnej sztuki monetarystycznej, kreacji pieniądza w określonych granicach, niezbędna jest aktywna rola państwa w polityce przemysłowej, kreatywna rola, z której państwa nikt nigdy nie zwolnił, która w warunkach tej gospodarki, jeszcze tak nieuregulowanej, jeszcze tak nierynkowej, ma ogromne znaczenie.

S.S.: Wszystko to, co Pan mówi, brzmi bardzo pesymistycznie. Jakie są wobec tego, pańskim zdaniem, drogi ratunku?

A.J.: Owszem, brzmi to pesymistycznie, ale takie są fakty. Co więcej, uważam, że sytuacja się jeszcze pogorszy, bowiem nie wszystkie skutki tej zapaści już się ujawniły. Rzecz straszną jest, że dziura budżetowa jest znacznie większa, niż to się podaje. Dziura ta wynosi — tak szacuję — ponad 100 bilionów złotych, ponieważ nie zinventaryzowano nie zapłaconych zobowiązań budżetowych. Te 30 czy 40 bln zł., o których mówi premier Olszewski, to jest tzw. dziura kasowa, tzn. tyle zapłacono nie mając pieniędzy. To jest rzeczywiste coś niewiarygodnego, że produkcja w Jugosławii po ciężkiej wojnie spadła o 20%, a w Polsce, gdzie żadnej wojny nie było, spadła ona o 50% i spada nadal. Oczywiście nie ma sytuacji bez wyjścia. Co trzeba zrobić w naszej sytuacji? Przede wszystkim sformułować politykę przemysłową państwa, określić jakie gałęzie chce ona rozwijać, jak chronić się przed bezrobociem itd. I to jest do zrobienia w porozumieniu z naszym przemysłem w ciągu miesiąca, dwóch. Użyć dla jej realizacji sterowanego kredytu i martwych dziś kapitałowych środków skarbu państwa. Państwo musi się stać kreatorem gospodarki a jest destruktoorem.

Dalej trzeba wprowadzić korekty w polityce makroekonomicznej, tzn. trzeba wpuścić do gospodarki pewną masę pieniądza. Czynniki rzeczowe są, tylko nie są one używane z racji pełnej ostracyzmu polityki monetarnej. Powtarzam: żeby mówić o jakiejś takiej gospodarce, trzeba się zastanowić, trzeba stworzyć jakieś znamiona, jakieś najmniejsze zarodki wzrostu gospodarczego; tymczasem tego u nas nie ma. Nadal mamy do czynienia z gospodarką, która globalnie związa swój popyt inwestycyjny i konsumpcyjny, a jeżeli gdzieś się otwiera miejsce na popyt to jest to popyt związany z importem konsumpcyjnym. Jak pan widzi jestem pesymistą, kiedy patrzę na to co się dzieje. Kiedy zaś uruchamiam swoją wiedzę, doświadczenie i wyobraźnię, wiem, że można to w krótkim czasie odwrócić i w parę lat osiągnąć względnie już satysfakcjonujący dobrobyt. Trzy kolejne już rządy — w schizofrenicznym zapamiętaniu — prowadzą nas do nędzy, która jest największym wrogiem człowieka.

S.S.: Dziękuję za rozmowę.
Rozmawiał: Stanisław Sauć

Trzecia droga — na sowieckie Kuryle.

Minione 45 lat stosunków sowiecko-japońskich stało pod znakiem sporu o Wyspy Kurylskie. Były to stosunki nad wyraz chłodne, momentami nawet wrogie. Sprzyjał temu nie do końca anulowany stan wojny, którą ZSRR wypowiedział Japonii w 1945 roku. Niezależnie od zawartych przez Japonię umów o utracie tzw. „terytoriów północnych i wschodnich” na rzecz ZSRR /Sachalin i archipelag kurylski/, rząd Japonii czynił po wojnie wiele starań, by odzyskać chociaż ich część, nawet za cenę ogromnych pieniędzy. Strona sowiecka niezmiennie odpowiadała, że kwestię terytorialną rozwiązano na mocy układów, i że ona nie istnieje. Na Kurylach zatem pospiesznie budowano porty, dla Rosjan osiedla mieszkaniowe, a na Sachalinie kopalnie i miasta. Wszędzie — jak zwykle — bazy wojskowe i obozy pracy. Nie wydaje się jednak, aby sprawa ta w obecnych warunkach gospodarczych i politycznych Rosji pozostała na obecnym etapie dyskusji. Jej uregulowanie odrębnym traktatem jest dziś niezbędne i obie strony widzą to jasno. Pozostaje kwestia wzajemnych ustępstw i korzyści. Rosja zresztą zabiega o japońską pomoc gospodarczą, a wiadomo, iż może ją otrzymać wyłącznie za odstąpienie od sztywnego stanowiska w sprawie wysp. Zatem negocjacje. Wielu polityków w Rosji i ekonomistów wskazuje na znaczne korzyści ekonomiczne wypływające z ewentualnego otwarcia wysp dla obcego kapitału. Daleki Wschód staje się dla Rosji wielką szansą ekonomiczną i turystyczną. Czy Rosja ją wykorzysta?

Archipelag Kurylski składa się z 30 większych wysp oraz licznych wysepek i skał rozciągniętych na długości 1200 kilometrów. Jest terenem rywalizacji obu państw od dwustu pięćdziesięciu lat. Co dzień cesarz Kraju Kwitnącej Wiśni obraca w modlitwie swoją twarz na wschód. Wita słońce, symbol życia i nadziei oraz jednocześnie potwierdza więź Japonii z utraconymi ziemiami. Co dzień ten gest nadziei powtarzają miliony Japończyków. Ale na razie co dzień główne porty na Kurylach opuszczają rybackie flotyle ochraniające przez sowieckie okręty wojenne. Okoliczne morza bezustannie patrolują atomowe okręty podwodne. Imperium, nawet okrojone, nadal pilnuje skarbów kurylskich i łakomie spogląda na zachód, na wyspę Hokkaido. Jest ona tuż za burtą, wystarczy niegdyś sięgnąć ręką. Ale świat złagodniał, lufy dział przykryto brezentem. Mimo tego okręty nie odpłynęły. Wciąż pilnują trzydziestu wysp i stu wulkanów, z których czterdzieści co pewien czas pluje w niebo rozpaloną do białości lawą i skalnymi blokami. Ziemia na Kurylach drży od tysięcy

lat. Już dziesięć wieków temu skolonizowali je Ajnowie, plemię o którym dziś rozprawia się jedynie w muzeach etnograficznych. Zdobywcy zniszczyli Ajnów, walcząc między sobą o ich ziemię, ich wulkany i naturalne bogactwa. Terytoria kurylskie przechodziły z rąk do rąk, a po drugiej wojnie światowej stały się łupem wojennym Związku Radzieckiego. Miesiąc działań wojennych na Dalekim Wschodzie w koalicji z Amerykanami przeciwko Japonii opłacił się Stalinowi sowiecie. Zagarnął on cały archipelag i należąca do Japończyków połowę Sachalinu. Na straży powojennego ładu w tym rejonie Pacyfiku stanęli obok Sowietów Amerykanie, którzy przejęli byłe japońskie wyspy Bonin, Volcano, Okinawę, Mikronezję.

W Japonii rośnie i umacnia się obywatelski ruch na rzecz powrotu części wysp kurylskich. Do dziś 50 milionów ludzi podpisało się pod petycją żądającą od Rosji oddania leżących najbliżej Hokkaido dwóch wysepek Habomai i Shikotan, rdzennie japońskich i w zasadzie nie należących do archipelagu. Obecny czas sprzyja nadziejom tych ludzi albowiem nasilający się od roku 1986 kryzys ekonomiczny zmieknął twarde stanowisko Kremla. Najpierw Szewarnadze, a później sam Gorbaczow jeździli do Tokio ludząc Japończyków możliwością zwrotu części wysp w zamian za pomoc gospodarczą. Nie otrzymali ani centa, ale Japonia nadal trzyma wórek ze złotem nad głową rozkładającego się imperium. Zdaże się jednak, że chytry dwa razy traci. Jeśli Gorbaczow byłby skłonny, w ramach określonych regulacji granicznych, sprzedać dwie wysepki za krocie, to Jelcyń, który stanął wobec odradzających się ruchów narodoworosyjskich, takiej szansy właściwie nie ma. Obie strony zrobiły kiepski interes i wiedzą o tym. Można więc z dużą pewnością przewidzieć, że ponownie zasiądą do rozmów, ale tym razem pod czujnym okiem obu społeczeństw, co zapewne utrudni postęp rokowań. Wysp na razie nie można ani sprzedać, ani kupić. Co zatem pozostaje? Negocjowanie trzeciej drogi, bezpiecznej dla Rosji, która nie chce utracić swoich portów i naturalnego systemu obronnego od wschodu, jakim jest archipelag, a jednocześnie zadowolonej japońskie poczucie dumy narodowej, przywiązanie do tradycji i historii oraz, co także nie jest bez znaczenia, stale wzrastające polityczne ambicje Tokio.

Archipelag znajduje się w izolacji ekonomicznej, która fatalnie wpływa na poziom życia zamieszkującej go ludności, głównie rosyjskiego pochodzenia. Żyje tu wielu inżynierów, badaczy ziemi, wojskowych, rybaków, istnieje potencjalna grupa

handlowców. Są to zbiorowości społeczne i zawodowe, które, gdyby dać im pewną samodzielność, mogłyby z Wysp Kurylskich uczynić kraj zamożny. Tym bardziej, że wyspy i otaczający je szelf wprost kipią od bogactw zarówno morskich /ogromnie nie zniszczone towiska/ jak i ziemnych — ropa, gaz, węgiel, mangan, źródła mineralne, kamienie szlachetne i półszlachetne. Szansa leży wyłącznie w demilitaryzacji i odpolitycznieniu problemu Wysp Kurylskich i uczynieniu z nich atrakcyjnej strefy wolnego handlu łączącej Rosję, Japonię, Stany Zjednoczone, Chiny i pozostałe państwa wschodu. Z tego powodu budzące się do działania samorządowe władze wysp coraz mniej życzliwym okiem spoglądają na atomowe łodzie podwodne i tym podobne morskie straszaki będące wciąż przejawem izolacji. Nie chcą być również towarem wystawionym na sprzedaż bez własnej wiedzy i zgody. „Trzecia droga” — oznacza dla nich wolność handlu, otwarcie ruchu przygranicznego między wyspami a przydzieloną strefą Hokkaido, otwarcie dla japońskich inwestycji, wymianę usług, współpracę morską, tworzenie spółek wydobywczych. Sprawa Kurylki staje się problemem politycznych stosunków rosyjsko-japońskich, co oznacza generalną zmianę politycznego statusu omawianego problemu, i przyczółkiem wolna odbudowywanej współpracy handlowej, inwestycyjnej, a nawet bankowej. Rosja nie odrzuca szansy poszerzenia swoich kontaktów z Japonią, ale pragnie je również rozszerzyć na inne państwa, co da większą pewność, że Japończycy nie zdominują w całości gospodarki tych wysp.

Oprócz walorów ekonomiczno-politycznych Kuryle są dużą atrakcją turystyczną jako teoria w zasadzie niedostępne nawet dla nauki. Kuryle to niebywale dziki teren, surowy klimat i dzika przyroda, to nęcają poszukiwaczy przygód wizja człowieka wśród nieobliczalnych wulkanów i gejzerów, mało znane gatunki zwierząt, ptaków i ryb — czyli atrakcje jakich na świecie jest już niewiele. Chętnych do zrobienia interesu na handlu i turystyce jest wielu, ale Rosjanie dopiero zaczęli na ten temat dyskutować. Jak długo będą gadać nikt nie wie. Już dziś przepadają im spore pieniądze. Zwolennicy otwarcia powiadają, że na razie wystarczy tylko zliberalizować przepisy paszportowe i celne na tym terytorium by uzyskać efekt gospodarczy o jakim nie śniło się sowieckim politykom. Czy na Kurylach powiedzie się „trzecia droga”, w zasadzie droga normalności? Zobaczymy.

Bogusław BAKUŁA

POZNAŃSKIE KOLEGIA...

28 lutego odbyła się trzecia rozprawa przed Kolegium d/s Wykroczeń Macieja Frankiewicza. Wydział Spraw Obywatelskich Urzędu Miejskiego oskarżał o zorganizowanie nielegalnej zbiórki pieniędzy na wakacje dla ubogich dzieci.

Przypomnijmy. Latem ubr. SW i PW zorganizowały 4 całkowicie bezpłatne tury wakacyjne dla dzieci z ubogich rodzin. Odpoczywało na nich ponad 100 dzieci. Organizatorzy, wśród nich Frankiewicz poświęcili swoje urlopy, nierzadko prywatne pieniądze. Frankiewicz dowoził żywność dbał o ekwipunek, organizował dojazdy

i... zbierał pieniądze na żywność. Okazało się, że nielegalnie. Dzieci spędziły po 10 dni pod namiotami. Uczyły się jeździć konno, prawie codziennie miały ogniska i podchody a w niedzielę msze polowe.

Frankiewicz miał dodatkowo trzy rozprawy na których musiał udawadniać swoją niewinność. Kara, która mu groziła, to obok grzywny w wys. 600 tys. zł. której żądał oskarżyciel, przypadek zebranych 14,5 mln zł., które jak napisano w „Gazecie Poznańskiej” bezpowrotnie przepadły w żółdkach odpoczywających dzieci.

Ta zadziwiająca sprawa zakończyła się pomyślnie. Frankiewicz został uniewinniony. /zj/

AMERYKA

W marcowym n-rze „SW” przedstawiamy Patricka Buchanana - przeciwnika George'a Busha w walce o kandydacką nominację z ramienia Partii Republikańskiej w wyborach prezydenckich w Stanach. Jak dowiodły prawyborcy w New Hampshire Buchanan (otrzymał 37 proc. głosów), jest jedynym liczącym się przeciwnikiem Busha (dostał 53 proc. głosów). W ankietach gazety „US Today”, CNN i Instytutu Gallupa Bush wygrał z Buchananiem w stosunku 63 do 29, ale w sondażu American Research Group of Manchester przewaga ta spadła ostatnio już do 50 proc. gdy Buchanan zdobył 26

proc. Amerykanom znany jest ze swoich ciętych stwierdzeń: amerykański Kongres nazwał „terytorium okopowane przez Izrael”, o Teng Siao Pingu powiedział „kopiujący, komunistyczny karzeł”. Sloganem wyborczym Buchanana jest „America first” (Najpierw: Ameryka). Licząc na głosy mniej zamożnych Amerykanów Buchanan obiecuje redukcję podatków rodzinnych i wprowadzenie ulg inwestycyjnych. Przewiduje też cięcia w budżecie obronnym, utrzymując jednak strategiczną pozycję USA.

Chcąc przybliżyć czytelnikom postać Buchanana przedrukujemy za „Nowym Światem” krótki szkic o jego osobie, oraz drukujemy dwa artykuły z „Conservative Chronicle”, w tym jeden Buchanana.

PATRICK J. BUCHANAN: Człowiek z zasadami

Gdy Patrick J. Buchanan, znany komentator prasy amerykańskiej i kandydat na prezydenta z ramienia prawicy republikańskiej przybył niedawno do miasteczka Dartmouth w stanie New Hampshire, skąd tradycyjnie rusza wyścig do Białego Domu, zgromadzonym tłumom powiedział, że „wrogowie określają mnie jako antysemitę, rasistę, maniaka seksualnego, socjalizującego faszystę i prymitywnego konserwatystę”. „Nie jestem żadnym z nich”. I miał rację. Bliżej mu do populisty.

Choć wiadomo od dawna, że lubi odgrywać rolę św. Sebastiana okładanego strzałami z lewa za to, że myśli jako prawicowiec. Ludzie o lewicowych poglądach mają mu bowiem za złe, że oskarżył Żydów amerykańskich o konspirowanie z Izraelem na rzecz podbijania bębna wojny na Bliskim Wschodzie. AIDS nazwał zaś „zemstą natury” na homoseksualistach. W londyńskim konserwatywnym „Sunday Telegraph” odważył się zapytać „Dlaczego bardziej zaszokowała nas śmierć tuzina ludzi pod wieżą telewizyjną w Wilnie niż masakra w „Burundii”? I odparł: „Bo byli białymi. Tacy jesteśmy, my Amerykanie i takie są nasze korzenie”.

Ale ci, co go znają dobrze (a wielu ma przyjaciół) twierdzą, że Buchanana - człowieka publicznego dzieli przepaść od Buchanana w życiu prywatnym. Nie jest na pewno bigotem, lecz człowiekiem z zasadami. Nawet liberalny komentator Michael Kinsley, często z nim polemizujący na łamach prasy, zmuszony był przyznać: „W przeciwieństwie do swego rywala George'a Busha trzyma się on pryncypiów. Prawda że są to w większości złe zasady. Ale gdy porównamy Buscha z Buchananiem to będziemy mieli wyraźną ilustrację maksymy, że czasami złe pryncypia są lepsze od żadnych”.

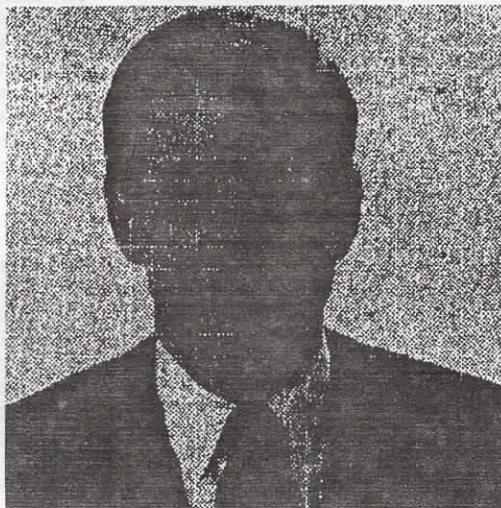
Buchanan lubi dosadne określenia i zdecydowane poglądy. „On nie jest złym człowiekiem - „pasjonat” jest lepszym określeniem” - tłumaczy siostra, Bay Buchanan polemizując zapytania brata. Nic dziwnego, szefuje Patowi w obecnej kampanii wyborczej. O szczegółach jego życiorysu można dowiedzieć się z wydanej autobiografii „Right from the Beginning” („Prawicowiec od początku”). Ojciec Pata był zwolennikiem gen. Franco, a potem sławne-

go senatora „komunożercy” z Wisconsin Josepha McCarthy'ego. Ale, gdy w 1964 r. Pat zbierał głosy dla Barry Boldwata ojciec głosował na demokratę Lyndona Johnsona. Gdy matka dowiedziała się o schizmie ojca, miała powiedzieć: „Dzieci nie martwcie się, już ja się tym zajmę”.

Pat Buchanan jest dziś bogatym człowiekiem, posiada piękny dom z basenem i luksusowego mercedesa. Urodził się w Waszyngtonie w rodzinie szkocko-irlandzkiej. Tu też skończył ekskluzywną high school i Georgetown University. Potem służył radą trzem prezydentom w Białym Domu, tam też poznał swą żonę Shelley. Sam siebie uważa nawet za outsidera tradycji reaganowskiej. Nic dziwnego, że w czasach komuny był u nas odsądzany od czci i wiary, głównie zaś przemilczany, choć jego głos czy artykuły trafiały do każdego domu w Ameryce. Zamieszkał je m.in. w prowadzonym przez innego znanego konserwatystę Williama Buckleya czasopiśmie „National Review”.

Jako młody dziennikarz został w 1962 r. przedstawiony prezydentowi Richardowi Nixonowi przez prawicowego rysownika Dona Hesse'a, z którym pracował w ukazującym się w St. Louis piśmie „Globe - Democrat”. Szybko też dołączył do zespołu autorów przemówień prezydenckich. Gdy Nixon potrzebował wizji - wzywał Raya Price'a, polotu - Williama Safire, ale gdy potrzebował mu było tzw. mięsa wołał tylko po Pata Buchanana. Niektórzy złośliwcy wręcz zwykli mawiać, że Pat jest młodym pitbullem Nixona. Po aferze z Watergate, Buchanan służył jeszcze swym talentem Geraldowi Fordowi, a potem Ronaldowi Reaganowi. U tego ostatniego był nawet dyrektorem do spraw komunikowania się z mass mediami. Zrećnie uknuta intryga zantagonizowała go jednak z Nancy Reagan. Któregoś dnia dowiedział się od First Lady, że „jego poglądy nie są już poglądami Ronalda Reagana”. Musiał więc odejść.

Teraz wystartował do walki o fotel w Białym Domu z partyjnym kolegą George'em Buschem. Cynicy twierdzą, że bierze udział



w wyborach tylko po to, by poprawić swe honoraria autorskie i zyskać sławę na niwie dziennikarskiej. Ale to nieprawda. Bardziej mu chyba zależy, aby wypełnić pustkę po Reaganie, którego zwolennikiem idei pozostaje do dziś. Nawet jeśli przegra, jest przekonany, że w 1996r. jego prawicowe poglądy przeważą u Amerykanów.

Nie ukrywa jednak, że może mieć problemy. Reaganowi udało się pokryć uśmiechem twarz konserwatyzmu, Buchanan musi liczyć na co innego. Wyeliminowanie komunizmu z gry o losy świata to jeszcze za mało, aby przekonać wyborców do tradycji izolacjonizmu. Hasło „Ameryka przede wszystkim” („America First”) jest już bardziej nośne, jeżeli idzie o zapewnienie pracy milionom Amerykanów. Jedno jest pewne, Buchanan opuścił drogę, którą zmierzał konserwizm Goldwata-Reagana. Musi podążać za biegiem wydarzeń. „Tymczasem niektórym konserwatystom trudno jest zrozumieć te przemiany i dotrzymać mu kroku”, skarży się siostra Bay Buchanan.

Nawet wydawca „National Review” Buckley zauważył, że w artykułach zamieszczanych na łamach można dopatrzyć się pewnej dozy antysemityzmu. Buchanan odcina się od tego zdecydowanie. Twierdzi zaś, że istnieje pilna potrzeba powstrzymania dziedzictwa judajsko-chrześcijańskiego od wtopienia się w „splątana masę zwaną multikulturyzmem”. „Dla Pata różnorodność w Ameryce nie jest symbolem siły”, stwierdza lewicowy komentator i zarazem przyjaciel Buchanana David Schields. Jest to największe zagrożenie. Jeśli nie ominie tej rafy, trudno dostrzec w nim przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

(żuk)/za „Nowym Światem” z 20.01.92/

To może przydarzyć się George'owi Buschowi w tym roku.

9 STYCZNIA. W czasie kampanii przedwyborczej w New Hampshire Patrick Buchanan zatrzymał się w małym miasteczku Lyme u znajomego felietonisty (autora tego artykułu - przyp. tłum).

W oddalonym o parę mil na północ Orford odbył spotkanie z byłym gubernatorem Meldrimem Thompsonem i był w drodze do pobliskiego Lebanon, gdzie miał wygłosić przemówienie. Otworzyli butelkę szampana i rozmawialiśmy o jego kampanii.

Za roszukanymi szklanymi drzwiami rozciągał się widok na zimową krainę czarów, głęboki śnieg, ślady szopów w lasu, nasz zamarznięty strumień z pstrągami.

MOIM ZDANIEM. Buchanan ma ogromne szanse pomieścić szczyki Georgowi Buschowi w republikańskich prawyborach w New Hampshire.

Po pierwsze, kampania Buchanana różni się od kampanii jego rywali którzy - oprócz Buscha - nie pokazują się w terenie. Podczas gdy inni kandydaci, na przykład Clinton lub Kerry muszą wykupywać czas na antenie TV, Buchanan - nie. Wyborcy niewiele wiedzą o Clintonie, Kerry'ach czy Wilderze i ci kandydaci muszą uczynić ogromny wysiłek, żeby dotrzeć do nich ze swoim programem, jeśli go w ogóle mają. Kto wie jakie są różnice między Kerry'em a Harkinem w podejściu do polityki zdrowotnej - która wydaje się być głównym punktem w tegorocznej kampanii demokratów?

Poglądy Buchanana są znane każdemu. Wzbudza on duże zainteresowanie środków masowego przekazu, a reporterzy z gazet krajowych towarzyszą mu na każdym kroku. Ma swoich studentów, którzy pracują dla niego ochotniczo w Dartmouth, na Uniwersytecie New Hampshire oraz w innych ośrodkach uniwersyteckich.

Buchanan czerpie również ogromne korzyści z faktu, że George Bush zrobił parę zaskakujących rzeczy, jak w przypadku podatków.

New Hampshire jest stanem antypodatkowym. Nie ma tu podatku dochodowego ani

podatku od sprzedaży. Gubernator Meldrim Thompson zainicjował składanie pewnej obietnicy i od jego czasów żaden kandydat nie może zostać wybrany na gubernatora bez podjęcia zobowiązania przeciwko nowym podatkom.

W 1988 roku biorąc udział w prawyborach w New Hampshire George Bush głośno podjął takie zobowiązanie i nieznacznie pokonał Boba Dole'a. Wyborcy w New Hampshire słyszeli jak zapewnia z dumą używając sformułowania Republikanów:

„Czytajcie z moich ust”.

Po czym podniósł podatki. Żenujące.

Buchanan mocno uderza Busha w ten punkt.

Bush długo rozwodził się nad sprawą proporcjonalnego uczestnictwa poszczególnych ras w życiu społecznym. Tak zwany akt praw obywatelskich, który został ostatnio podpisany w zależności od interpretacji sądowej może, ale nie musi określać te proporcje. Ostatecznie Bush wycofał się ze stanowczego i pryncypialnego stanowiska wobec zagadnienia. Unieważnił nawet rozporządzenie zakazujące stosowania tej zasady w rządzie federalnym, co oczywiście może być interpretowane jako oznaka udzielenia jej poparcia.

Osiemdziesiąt procent Amerykanów jest przeciwko określaniu udziałów rasowych.

Polityka Busha jest zastanawiająca. Mówi jedno, a robi zupełnie coś innego. W New Hampshire jest postrzegany jak człowiek któremu zabrakło kompasu, aby mógł się nim kierować.

Buchanan twierdzi, że Bush roztrwonil spuściznę po Reganie, czyli wzrost gospodarczy i zredukowane podatki.

Buchanan jest przyjmowany tutaj zupełnie inaczej niż Bush.

Przed wszystkim jest bardziej sprawny werbalnie. Jego język nie jest tak dwuznaczny i pełen niedomówień jak u innych polityków. Jest on prawdopodobnie jedynym kandydatem, który sam pisze swoje przemówienia.

CONSERVATIVE CHRONICLE

W żadnym wypadku nie jest protekcyjnistą, chociaż przejmując się na przykład, sytuacją w amerykańskim przemyśle tekstylnym. Chce chronić miejsca pracy dla Amerykanów, ale jednocześnie przekonuje, że np. spódnica może zostać uszyta w Meksyku czy Azji przez ludzi zarabiających po 50 centów na godzinę. Wie, że inne gałęzie przemysłu, wiele z nich, są uzależnione od komponentów produkowanych w innych krajach przez tanią siłę roboczą.

Uważa, że zakres pomocy zagranicznej powinien zostać zweryfikowany. Jak by nie było świat bardzo się zmienił w ciągu ostatnich dwóch lat. Nie sądzi, że pomoc zagraniczna powinna być automatycznie kontynuowana z roku na rok, co nie oznacza jeszcze że jest izolacjonistą.

Jego hasło „Po pierwsze - Ameryka” sprowadza się do przekonania że prowadzona polityka powinna być oceniana z punktu widzenia interesów amerykańskich. Dla większości ludzi brzmi to rozsądnie.

NEW HAMPSHIRE MA PEWNE TRADYCJE w mieszaninzie sztyków polityki. W 1952 Prezydent Truman był beznadziejnie niepopularny i senator Estes Kefauver zdyskredytował go w New Hampshire.

To wyeliminowało zgłoszenie Trumana do ponownych wyborów.

W 1968 senator Eugene McCarthy wysoko wygrał z niepopularnym Lyndonem Johnsonem i zdmuchnął go ze sceny politycznej.

To może przydarzyć się Georgowi Bushowi w tym roku.

Jeffrey HART

/przedruk za: *Conservative Chronicle*, nr 4 z 22 stycznia 1992 roku/.

Czy istnieje lekarstwo na chorobę socjalizmu?

W wyznaniu wiary współczesnego konserwatysty znajduje się punkt stwierdzający, że lata osiemdziesiąte udowodniły wyższość kapitalizmu nad socjalizmem. Niewielu znajduje się takich, którzy jeszcze temu zaprzeczają.

Rzeczywiście, za naszych czasów miały miejsca trzy wielkie eksperymenty z socjalizmem. Wszystkie okazały się ewidentną porażką.

Pierwszy to, oczywiście, marksistowsko-socjalistyczny eksperyment Lenina i Stalina, Mao Tse-tunga i Pol Pota, Ho Chi Mina i Fidela. Co spowodował? Śmierć dziesiątek

milionów ludzi, marnotrawstwo setek milionów istnień stłamszonych przez terror, cierpienie i nędzę.

Drugi to autorytarno-demokratyczny socjalizm Trzeciego Świata - od Indii po Afrykę i Amerykę Łacińską. To wcielenie socjalizmu podtrzymywane przy życiu 1,2 biliona dolarów zachodniej pomocy, pożyczek i kredytów również okazało się paskudną porażką. Zostały stworzone ogromne systemy biurokratyczne, stopa wzrostu gospodarczego spadła do zera i poniżej, bogactwa naturalne tych krajów zostały roztrwonione, podstawowe gałęzie przemysłu - zrujnowa-

CONSERVATIVE CHRONICLE

ne. Na ziemiach, które nie tylko potrafiły wykarcić swoich mieszkańców, ale także eksportowały zboże i żywność panuje niedożywienie i głód.

Trzecim wielkim socjalistycznym przedsięwzięciem jest Wielkie Towarzystwo (Great Society) amerykańskiego liberalizmu.

Jack Kemps sekretarz Departamentu Rozwoju Urbanistycznego (Housing and Urban Development) zwraca uwagę, że w ciągu minionego ćwierćwiecza dwa biliony dolarów zostały przekazane z podatków na programy zmierzające do podwyższenia poziomu życia biedoty.

I co z tego wynika? Czy amerykańskie miasta stały się Wzorcowymi Miastami obiecany przez Lyndona B. Johnsona?

Czy zniknęły zbrodnie i nędza? Czy amerykańscy studenci są lepiej wykształceni niż ich rówieśnicy w innych krajach lub chociażby ich rodzice? Czy biedocie miejskiej powodzi się lepiej niż 25 lat temu?

Nikt nawet nie próbuje tego dowodzić. Dlatego, że co czwarty młody czarnoskóry mężczyzna z wewnętrznych dzielnic miasta albo odbywa karę więzienia, albo pozostaje pod nadzorem kuratora sądowego, albo korzysta z przedterminowego warunkowego zwolnienia. Połowa narodzin wśród czarnoskórych kobiet jest skutkiem pozamałżeńskich związków. Połowa absolwentów średnich szkół nie zna matematyki na poziomie ósmej klasy. Można by zapytać jak wyglądają te liczby dla wewnętrznych dzielnic: 90%? 95%?

Zdawałoby się, że z takim zapisem nieustających porażek, wymieszenie resztek zdyskredytowanego socjalizmu powinno być najłatwiejszym z możliwych zadań, zwłaszcza dla społeczeństwa demokratycznego.

Jednakże, kto tak sądzi ten nie docenia trudności. W ubiegłym miesiącu, w czasie mojej podróży po Polsce i republikach nadbałtyckich z całą ostrością zauważyłem, że mimo iż socjalizm jest słowem nie lubianym to miliony ludzi są uzależnione od osłony socjalnej, jaką zapewniało im państwo socjalistyczne. Młodzi mogą podjąć wyzwanie wolnego rynku, ale wielu ludzi w średnim wieku i starszych z niepokojem spogląda na

niepewność, która przyszła wraz z wolnością.

Nie doceniamy także wpływu ideologii socjalistycznej na sposób myślenia zachodniej inteligencji.

DLA WIELU ZACHODNICH intelektualistów, to nie jest zwykła idea, którą można odrzucić lub zaakceptować z przyczyn pragmatycznych. Ideały socjalizmu są religią wyznawaną tak gorliwie, jak każda inna religia. Dziewiętnastowiecznej awangardzie, socjalistyczne marzenie - wspólna praca by zbudować raj, tu na ziemi - zastępowała chrześcijańską wizję Raju na tamtym świecie. Prośba skierowana do współczesnego socjalisty, by porzucił wiarę w możliwość udoskonalania człowieka instrumentami państwowymi jest bliska proponowaniu polskiemu rolnikowi by rzucił wiarę katolicką, ponieważ nie uchroniła jego kraju przed Hitlerem i Stalinem.

Trzecią przyczyną, dla której państwo opiekuńcze może pozostać z nami na zawsze, jest ogromna liczba korzystających z jego ułatwień. Są to nie tylko dziesiątki milionów otrzymujących zasiłki, dopłaty do wynajmu mieszkań, pomoc żywnościową i medyczną, ale także miliony tych, których praca uzależniona jest od niezmienności i rozwoju państwa opiekuńczego. Miliony ich znajdujemy w rządzie, również na uniwersytetach, w organizacjach praw obywatelskich, fundacjach, prywatnych agencjach społecznych, szkołach, kościołach. Oni nie chcą żeby wojna z nędzą dobiegła końca, ponieważ, w przeciwieństwie do jednostek biorących udział w operacji Pustynna Burza, nie chcą zostać zdemobilizowani.

Zmniejszenie rozmiaru, zasięgu i potęgi państwa opiekuńczego zagroziłoby ich statusowi społecznemu, karierom i dochodom.

Zorganizowani, zjednoczeni i silni nie poddadzą się bez walki.

Czwarta przyczyna, z powodu której zadanie to może okazać się niemożliwe do wykonania nawet u nas, jest fakt, iż konserwatywna amerykańska partia - Partia Republikańska zawarła separatystyczny pokój z państwem opiekuńczym. Jakiegokolwiek by było nastawienie do ukrócenia socjalizmu, Wielkiego Towarzystwa (Great Society) w epoce Reagana jego oddziaływanie wówczas zmniejszyło się jeśli nie zanikło.

Więc w kim dziś nasza nadzieja? Jedynie w podatnikach.

Jeśli rozwścieczony elektorat zmusi Waszyngton do obcięcia, a pewnego dnia - odcięcia pomocy zagranicznej i gwarantowanych kredytów dla obcych reżimów. W proch rozpadnie się socjalizm w Bloku Wschodnim i na Trzecim Świecie. Te reżimy tak wykrwawiły swoje państwa, że może im pomóc tylko stałe zasilanie zachodnim kapitałem.

Jeżeli tu, u siebie, Amerykanie będą zwalczali każdy wzrost podatków na poziomie lokalnym, stanowym i federalnym, będziemy mogli powoli zgłodnieć socjalizm na śmierć. I dokładnie o to chodzi. Opór przeciwko podatkowi od Orange County po Nowy Jork, od Trenton do Albany, od Bridgeport po Filadelfię. Permanentny bunt przeciwko podatkowi jest ostatnią szansą kapitalizmu.

PODOBNI JAK PEWNE PRZYPADKI alkoholizmu, socjalizm jest nałogiem, który wymaga zmian mentalności, aby go wyeczyć. Podobnie jak pewne przypadki alkoholizmu jest to choroba, która albo zabija swoją ofiarę albo wypycha ją do rynsztoka. Od tej pory nędzna i bezdomna nie szuka już pomocy.

Nas tam jeszcze nie ma, ale też możemy się tam znaleźć.

Patrick BUCHANAN

/przedruk za: Conservative Chronicle, nr 26 z 26 czerwca 1991 roku/.

Amerykańska polityka post-sowiecka

„Ostatnio, odsunięto od władzy Michaiła Gorbaczowa - człowieka, na którym polegał Waszyngton w prowadzeniu swojej polityki w tych, coraz bardziej niestabilnych warunkach” - to fragment przekazu instrukcji dla amerykańskich ambasadorów który publikujemy w całości poniżej/ bez komentarza/. Dokument otrzymaliśmy od wysokiej rangi urzędnika amerykańskiego.

DNOCZONE: polityka post-sowiecka.

01/15/92

WYDARZENIE: W przyszłym tygodniu Stany Zjednoczone będą gospodarzem konferencji dotyczącej koordynacji pomocy dla byłych republik sowieckich.

WSKAZANIA: Administracja Busha jest ostrożna z podejmowaniem zobowiązań wobec nowych niezależnych republik. Jak dotąd najważniejszą sprawą jest przyszłość broni i technologii jądrowej.

ANALIZA: Prawie przez cały czas trwania ery Gorbaczowa polityka Stanów Zjednoczonych wobec Związku Sowieckiego opierała się na trzech założeniach powszechnie zaakceptowanych przez amerykańskich polityków:

- sama natura sowieckiego systemu sprawia, że Związek Sowiecki jest potęgą ekspansjonistyczną i tak pozostanie dopóki nie zostanie zmieniony system;

- sowiecka ocena własnych potrzeb dotyczących bezpieczeństwa wymaga obecności militarnej w centralnej i wschodniej Europie; oraz

S - zimna wojna będzie trwała w nieskończoność uniemożliwiając załamanie się gospodarki Związku Sowieckiego, które i tak jest uznane za mało prawdopodobne.

TA - We wczesnych latach dziewięćdziesiątych wszystkie te założenia zostały obalone. Ostatnio, odsunięto od władzy Michaiła Gorbaczowa - człowieka, na którym polegał Waszyngton w prowadzeniu swojej polityki w tych, coraz bardziej, niestabilnych warunkach.

YN - Zaden inny zestaw wiarygodnych założeń dla sformułowania podstaw nowej polityki wobec byłych republik sowieckich jeszcze nie wyłonił się. Stworzenie spójnej długoterminowej polityki wobec tego obszaru wymaga:

- oceny stanu faktycznego w byłym Związku Sowieckim; oraz
- opracowania stosunkowo pewnego modelu bliższej i dalszej przyszłości byłych republik sowieckich.

Pierwsze z tych zadań jest niezwykle trudne, drugie - biorąc pod uwagę tempo i złożoność przemian w byłym Związku Sowieckim - właściwie niemożliwe. Dlatego też żadna wiodąca strategia nie została jeszcze stworzona i jest mało prawdopodobne, żeby stało się to w najbliższej przyszłości. Co więcej, tak zasadniczy model wymagałby środków na ogromną skalę, których Stany Zjednoczone nie są obecnie gotowe na to przeznaczyć.

Niemniej jednak amerykańscy politycy są świadomi licznych zagrożeń dla interesów Stanów Zjednoczonych mających swoje źródło w upadku Związku Sowieckiego. Dwa najważniejsze według nich to niepokój spowodowany upadkiem gospodarczym oraz niestabilność nuklearna.

Te dwa zagadnienia są ściśle ze sobą związane:

- Załamanie sieci dostaw i dystrybucji połączone z dezintegracją armii stwarza możliwość, że lokalni przywódcy odwołując się do groźby użycia siły - łącznie z możliwością wykorzystania broni jądrowej znajdującej się w ich dyspozycji - będą dążyć do ustanowienia swojej władzy w regionie albo wysuwając roszczenia wobec rządów.

- Załamanie się poziomu życia spowodowało wzrost zagrożenia wynikającego z niekontrolowanego eksportu sowieckiej technologii jądrowej, materiałów i potencjału intelektualnego. Naukowcy i technicy uczestniczący w wojskowych programach nuklearnych są już werbowani przez niektóre państwa.

Wobec braku wiodącej strategii zmierzającej do zdefiniowania i realizacji średnio-i długoterminowych celów Stanów Zjednoczonych, administracja rządowa przygotowała ad hoc zestaw reguł, które zminimalizowałyby skutki dalszego pogarszania się sytuacji w byłym Związku Radzieckim.

Zaangażowanie amerykańskie mające na celu poprawienie krytycznej sytuacji gospodarczej jest znaczące, choć ograniczone:

- Stany Zjednoczone obiecały 1,25 miliarda dolarów w kredytach gwarantowanych oraz 165 milionów dolarów zapomogi na pomoc techniczną i zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb w czasie tej zimy. Stało się to po odrzuceniu przez Kongres propozycji przyznania jednomiliardowego pakietu pomocy humanitarnej. Gwarancje zostaną udzielone w czterech częściach: 500 milionów dolarów - natychmiast, po 250 milionów dolarów w trzech transzach w ciągu 1992 roku. Pomoc Stanów Zjednoczonych wynosi obecnie ponad 4 miliardy dolarów.

W przyszłym tygodniu Stany Zjednoczone będą gospodarzem konferencji na temat koordynacji pomocy gospodarczej i humanitarnej dla nowej Wspólnoty.

Do koordynacji amerykańskiej pomocy został wyznaczony Departament Sekretarza Stanu Lawrence Eagleburger.

- Dla łatwiejszego przeprowadzenia reform gospodarczych Stany Zjednoczone obiecały republikom dalszą pomoc techniczną. Status najwyższego uprzywilejowania oraz członkostwo w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. W ubiegłym miesiącu Międzynarodowy Fundusz Walutowy ustanowił departament zajmujący się sprawami poszczególnych republik.

Pomoc Stanów Zjednoczonych jest tylko ułamkiem ogólnej pomocy udzielonej przez kraje EWG (32,5 mld dolarów) czy nawet same Niemcy (22,5 mld dolarów). Wywołało to niezadowolenie w Europie, gdzie powszechnie uważa się, iż Stany Zjednoczone biorą zbyt mały udział w dzieleniu trudów pomocy. Znaczący wzrost udziału Stanów Zjednoczonych w tej pomocy jest mało prawdopodobny z kilku powodów:

- Własne trudności gospodarcze - a w szczególności ogromne problemy fiskalne - sprawiają, że możliwości Stanów Zjednoczonych przeznaczenia środków byłemu Związkowi Radzieckiemu pozostają, na pewien czas, ograniczone. - Społeczna niechęć wobec pomocy zagranicznej - niepopularny temat nawet w najlepszych czasach - wzrosła na skutek recesji. Nawet poprawa sytuacji ekonomicznej nie zmieni tego faktu. Od połowy lat osiemdziesiątych wartość realna wydatków budżetowych na pomoc zagraniczną spada. Jest mało prawdopodobne, żeby w najbliższym czasie ponownie zaczęła wzrastać. A jeżeli nawet, zapotrzebowanie na pomoc jest tak ogromne, że tylko niewielka jej część będzie osiągalna dla republik.

- Banki i przedsiębiorstwa amerykańskie są mniej zaangażowane w handel z byłymi republikami sowieckimi niż ich europejskie odpowiedniki. Co więcej, Stany Zjednoczone z racji swego położenia geograficznego są mniej narażone na inne skutki zmian. Zalew uchodźców uciekających przed załamaniem gospodarczym, anarchią i wojną na wschodzie nie stanowi takiego zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych jak dla Wspólnoty Europejskiej.

Sprawy finansowe nie są jedynym problemem związanym z zaangażowaniem się Stanów Zjednoczonych w postsowieckie przemiany.

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa niepokoju społecznego i politycznego chaosu spowodowanego reformami gospodarczymi, waszyngtońscy politycy nie chcą być identyfikowani z żadnym programem przemian, zwłaszcza, że ich nastawienie zarówno do rządu Jelcyna jak i jego planów jest sceptyczne. Waszyngton nie udzielił sowieckim reformatorom większego poparcia ani słowem ani czynem.

Odczuwając niekorzystne skutki zbyt silnego związania się z Gorbaczowem są niechętni, by przyjąć Jelcyna z podobnym entuzjazmem.

Przyszła pomoc i nawiązanie stosunków dyplomatycznych są także uzależnione od rozwiązania kwestii broni nuklearnej. Stany Zjednoczone nalegają na stosowanie się do postanowień traktatu START oraz traktatu o broni konwencjonalnej (CFE) podpisanych przez Związek Radziecki, jako jedyny mający operacyjny nadzór nad sowieckim potencjałem nuklearnym i eksportem technologii jądrowej oraz nalegają na przystąpienie byłych republik, oprócz Rosji do Traktatu o Nierozprzestrzenianiu (NoN-Proliferation Treaty) jako państw nie posiadających broni jądrowej. Stany Zjednoczone przeznaczyły już 400 milionów dolarów na rozmontowanie sowieckiej broni nuklearnej i chemicznej.

WNIOSEK: Z dużym prawdopodobieństwem polityka Stanów Zjednoczonych wobec byłych republik sowieckich pozostanie przez pewien czas elastyczna choć wyczekująca ze względu na niestabilność tego regionu.

Globalne, syntetyczne spojrzenie na historię dwóch ostatnich stuleci krajów Europy Środkowej prowadzi do zaskakującej konkluzji.

GŁOWĄ W MUR

Losy narodów i krajów Europy Środkowej były w XIX i XX w. niezwykle do siebie podobne. W poprzednim stuleciu bez mała wszystkie wyłączone były w obręb obcych państw i pozbawione znaczenia. Dochodziło do buntów i powstań (m.in. w Polsce i na Węgrzech), ale w istocie nie miały one znaczenia, nie zmieniały układu, nie prowadziły do utworzenia odrębnych państw. Na początku wieku dwudziestego - bez względu na występowanie działań niepodległościowych czy ich brak - formowały się państwa narodowe. Tak powstała Polska, ale tak również powstały Czechosłowacja, Węgry, Albania, kraje bałtyckie. Zadecydowały o tym czynniki zewnętrzne. I te same czynniki definitywnie zmiotły ich niepodległość w latach czterdziestych. Do roku 1989 - kiedy znów, bez względu na występowanie ruchów wolnościowych czy ich brak, kraje Europy Środkowej nagle uzyskały niepodległość.

W sumie więc ten region Europy stanowił w ciągu kilkunastu ostatnich dekad przedmiot, nie zaś podmiot historii. O jego losie decydowały uwarunkowania zewnętrzne, a żadne działania ze strony zamieszkujących go narodów stanu tego nie zmieniały. Czyżby dziejowy fatalizm nie do przezwyciężenia? Czyżby nasze starania, nasza codzienna gonitwa wokół „niezwykle ważnych spraw” nie miały żadnego w istocie znaczenia? Można by ryzykować stwier-

dzenie, że tak, gdyby nie jeden wyjątek. Wyjątek, którego autorami jesteśmy my, Polacy.

W roku 1920 Europa Środkowa (i nie tylko) groziła drastyczną zmianą globalnego układu międzynarodowego. Bolszewicka inwazja na Europę została wówczas powstrzymana wyłącznie własnymi środkami Polaków. To właśnie nasza aktywność, mądra i przemyślana strategia wojskowa oraz oddanie ludności w sposób trwały zmieniły bieg wydarzeń. Był to ten jedyny w ciągu ostatnich 150 lat moment, kiedy w skuteczny sposób kraj Europy Środkowej był podmiotem historii, zmieniając i kształtując ją zgodnie ze swoją wolą.

Jeden, jedyny raz w nowożytnych dziejach naród środkowoeuropejski zmienił kształt historii kontynentu. I właśnie ten moment stanowi element optymizmu w tym na ogół ponurym obrazie. Dlaczego bowiem Polacy byli w stanie odwrócić koło dziejów? Po pierwsze, był to szczęśliwy zbieg okoliczności - miażdżący kości narodów walec prowadzony przez pijanego czekistę nie ruszył jeszcze pełną parą; po drugie, zaowocowała wówczas nieskuteczna dotąd polska niepodległościowa krzątanina, postawa - wbrew warunkom - zawsze podmiotowa, brak uległości, trwanie przy swoim wbrew wichrom i burzom historii. A zatem to owe przegrane zrywy i powstania, te wszystkie nieskuteczne działania i w sumie ciągła czujność doprowadziły do wykorzystania tej jedynej szansy danej nam przez los. I chyba tkwi w tym wyraźne przesłanie: wbrew wszelkim przeciwnościom nie wolno nam rezygnować, trzeba uporczywie walić głową w mur. Nie my rozdajemy karty w tej historycznej grze, ale musimy w niej uczestniczyć i zachowywać czujność, by wygrać partię, gdy jednak - jak w 1920 r. - dostaniemy w ręce pokera.

Romuald LAZAROWICZ

Błędy „Solidarności Walczącej”

Przepraszam, że tak późno odpowiadam na artykuł B.Zaremby ale lepiej teraz niż wcale.

Myślę że pismo „SW” nie tyle unika podjęcia próby oceny działalności SW co po prostu nie uważa, aby miała kończyć działalność i słusznie że nie kończy jej jako zamknięty rozdział.

Chociażby dlatego, że podstawowym założeniem było obalenie komunizmu. Nikt mi nie udowodnił, że komunizm został pokonany a istniejąc w postaci przepoczwarczonej jest jeszcze groźniejszy. I to już jest pierwszy i jeden z podstawowych powodów, aby pismo utrzymać, w którym dalej można pokazywać, naświetlać przeistaczanie się tego zła.

Jeżeli chodzi o błędy to może i to było, patrząc z perspektywy czasu błędem, pomaganie, ale kto wiedział wtedy. Chociaż ja osobiście również uważam, że trzeba być dla drugich, a wcześniej czy później drudzy będą dla mnie, dla nas. To jest m.in. „solidaryzm”. A to że ludzie są słabi, to tym bardziej musimy pokazać, że mamy swoje zasady i robimy wiele rzeczy dla sprawy (obalenia komunizmu także u nas). Wysłałam wywiad z Markiem Muszyńskim gdzie wiele pisze o SW, jednocześnie przyznaje że to jest stanowczo za mało, ale nie spodziewajmy się, że będą nas chwalić, bo wtedy stwierdzimy że nic nie warto robić.

Jeżeli chodzi o promocję jednego nazwiska. Zawsze uważałem to za największy plus dla „SW”. Daleki od gloryfikacji, ale ważne jest to, czy w podziemiu, czy w więzieniu, czy na wygnaniu to jest jeden szef. Poprzez te sytuacje nie zmienia się szefa jak to było w innych organizacjach (co zaraz było przyczyną nieporozumień, kłótni o wątpliwą ważność danej osoby). Najważniejsza była konsekwencja danej osoby. Myślę, że Kornel, aż za skromny był i tu jego może słabość, a przecież przy Kornelu wiele osób się wybiło i tylko my mogliśmy aktywniej te osoby lansować, pokazywać, aby w różnych regionach mieć podobnych liderów. Jeszcze raz to zaznaczę, to od nas samych zależało wyrobienie kilku nazwisk.

Jeżeli chodzi o wcześniejsze ujawnienie - to również inaczej patrzy się z perspektywy czasu. Myślę, że tu wcale nie była sprawa terminu ujawnienia się. Sama postawa Kornela czy całej „SW” do ówczesnych posunięć politycznych była nie do przyjęcia przez sprzedawców, dogadywaczy. Tak samo by nas ignorowano, czy w podziemiu czy na jawności. Byliśmy nie do przyjęcia, czy wtedy czy teraz, za dużo ludzi upaprało sobie ręce tą łatwą, tą kolaboracją i dlatego, czy to wtedy czy teraz normalna postawa, zachowanie swych zasad dla nich wydaje się tak bardzo wojownicze. I widzę nas bardzo wojowniczych, a tymczasem my jesteśmy za spokojni. Dlatego nie zgadzam się ze stanowczym stwierdzeniem, że tkwienie w podziemiu do lipca 90r., było kardynalnym błędem. Jedyne my, członkowie czy sympatycy za mało aktywnie działaliśmy, krzyczyliśmy i niektórym z naszych nawet zapachniał ten „okręt”, „Okrągłego stołu” i chętnie chcieliby się przyczepić jak „g...” do statku i popłynąć... I te słabości niektórych z nas zmiękczyły „SW”, dały mniej wiary w swoje racje. Wtedy gdy jest mniej woli wśród członków do działania, gdy ktoś jest zmęczony chce odejść, nie wie jak to zrobić i doszukuje się na siłę takiej oceny o mniejszych umiejętnościach

organizacyjnych kierownictwa. Przecież umiejętności organizacyjne ma się takie jak wcześniej, co najwyżej lepsze bo doskonalsze doświadczeniem. Owszem możemy popełniać błędy, Kornel nie jest święty, ale to nie jest równoznaczne z mniejszymi umiejętnościami. Dlatego również z tym zarzutem nie mogę się zgodzić. Natomiast dziwne, ale to właśnie dogadywacze (wałęsiaki) tak mi również mówią, że „SW” była to super organizacja (kiedy im byliśmy potrzebni), a teraz nuda, zostając sobą im przeszkadza w ich sprzedawczykowstwie. I dlatego przenoszą w eter, że jesteśmy niepotrzebni, słabi i powinniśmy się rozwiązać. Absolutnie uważam, że byłby to właśnie największy życiowy błąd, a sukces agentów mięczaków, którzy by mieli spokój. Jeszcze wiele rzeczy może się stać, a i w obecnej sytuacji widzę sens samej chociażby informacji, że istnieje wydaje oświadczenia czy stanowiska do obecnych wydarzeń, to będzie też dużo. Zawsze w razie czego można będzie do czegoś, do kogoś się odwołać. Należy pozostawać przy organizacji, a nie myśleć o czymś najprostszym, najłatwiejszym. Myślę, że takie stanowiska biorą się stąd, że wielu z nas zaspokoilo swe (małostkowe) chęci pokazania zaistnienia i teraz odrywają się najprostsze instynkty. Dziecko, które spłodził, którym żył, rozwijał się, chcą utopić, bo już im niepotrzebne, przeszkadza. Zamiast zastanowić się jak kroczyć, wychowywać dalej z zasadami przekładając swe idee na dzień dzisiejszy. Nie wiem po co powstał, po co się przyłączyliśmy, wstąpiliśmy do jasnej klarownej sprawy jaką była „SW” - po to żeby teraz gdy niewiele się zmieniło na lepsze, a nawet jeszcze bardziej zakłamaną, zamazaną, zwyrodniałą sytuacją zdradziecką - i w takim momencie rozwiązywać coś co powinno budować, skupiać wokół siebie opozycję.

Chyba, że dawać radość sprzedawcykom, zdrajcom, mięczakom dla których słowo patriotyzm jest pustym słowem. Będę krzyczał głośno nie, a nawet podejrzewał tych, którzy zamiast pracować nad budową „SW” myślą jak tu do końca przewrócić. Trzeba cofnąć się i wrócić do idei do założeń programowych i w końcu do przysięgi. Partia Wolności występuje jako pierwszy ogień, pierwszy front do bicia, jako nastawienie karku, a na wszelką ewentualność powinna pozostać, chociażby na razie „zamrożona” „SW”, ale powinna.

Myślę, że jest to jasne i stanowcze, a przede wszystkim zrozumiałe.

Co do miesięcznika „SW” to Lubin zobowiązuje się rozprowadzać na razie nie wiem, czy 50, czy 100 egzemplarzy, (...) Jeszcze raz podkreślę, że trzeba wszystko zrobić, aby utrzymać to jedyne swego rodzaju pismo. Prosi o to cały oddział lubiński.

Przepraszam za może nieskładne marudzenie, ale mimo to z poważaniem.

Edward WÓLTANŚKI

Jest to kolejny głos - próba polemiki z tezami artykułu Bogdana Zaręby zamieszczonego we n-rze 15-16 (283-284) „SW”. W n-rze 288 publikowaliśmy list Marka Chwalewskiego w tej sprawie. W n-rze kwietniowym opublikujemy większe rozważania Andrzeja Lesowskiego.

LISTY DO REDAKCJI

Redakcja Miesięcznika „Solidarność Walcząca”

Korzystając z gościnnych łam Miesięcznika „Solidarność Walcząca” chciałbym ustosunkować się do artykułu, a właściwie jego części dotyczącej Prus Wschodnich, który ukazał się w numerze 17/18 „SW” z XI/XII 1991 r. w artykule p.t. „Wędrówka ludów - granice...” pan Marian Gołębiowski pisze m.in.: „Historycznie rzecz biorąc, tereny te wraz ze znaczną częścią Prus Wschodnich, kiedyś należały do Polski nawet sama nazwa wywodzi się od naszych królów - o polskości tego miasta i rejonu może świadczyć i fakt, że przed II wojną światową co

czwarty sztyd na sklepie wskazywał na polskie pochodzenie właściciela”. Niestety w tym jednym zdaniu znajdują się aż trzy rażące błędy. Otóż założony przez Krzyżaków w 1255 r. Królewiec - właściwie Königsberg, został tak nazwany na cześć króla czeskiego Przemysława Otokara II, który był sprzymierzeńcem Zakonu.¹

Co zaś się tyczy ziem opanowanych przez Krzyżaków, to w 1525 na prośbę Albrechta Hohenzollerna (wnuka Kazimierza Jagiellończyka) zawarty został traktat krakowski (10.IV.1525r.) na mocy którego dokonano sekularyzacji Zakonu Krzyżackiego i przekształcenia Prus w księstwo świeckie i

protestanckie. Traktat ten kończył wojnę i przywracał granicę z 1466 r. Albrecht został dziedzicznym „księciem w Prusach”, a lenno było dziedziczone w linii męskiej Albrechta i jego trzech braci: Jerzego, Kazimierza i Jana. Traktat krakowski przewidywał m.in. zobowiązanie księcia do udzielenia pomocy wojskowej w liczbie 100 rycerzy, a prawo sprzedaży lenna było ograniczone przez królewskie prawo pierwokupu. Inne postanowienia dotyczyły wolności handlu oraz spraw celnych.²

Tak więc ziemie te nie były częścią Rzeczypospolitej ponieważ nie dokonano ich inkorporacji ani przyłączenia (applicare) jak

to miało miejsce w przypadku zawartej z Litwą Unii w Krewie (1385).³

Poza tym w 1657 r. na mocy traktatów welawsko-bydgoskich rozwiązany został stosunek lenny między Rzeczypospolitą a Prusami Książęcymi. Nastąpiło to za cenę opuszczenia przez Fryderyka Wilhelma I Szwedów i wystąpienia po stronie Jana Kazimierza w toczącej się wojnie polsko-szwedzkiej (1655-1660).⁴

Również sugestie autora dotyczące liczby Polaków zamieszkających w Królewcu nie znajdują potwierdzenia w faktach. Wg. danych z 1925r. w mieście tym Polacy stanowili 0,19% ogółu mieszkańców (z tego 0,16% to Polacy obywatele niemieccy, a 0,03% to Polacy obywatele polscy). Dla porównania w tym samym czasie, Polacy zamieszkali w Berlinie stanowili 0,48% jego mieszkańców. Warto zaznaczyć, że największe skupiska ludności polskiej w Prusach Wschodnich znajdowały się w miastach: Olsztyn (35,1%), Szczytno (31%) i Sztum (26%)⁵, a więc na

terenach, które zostały przekazane administracji polskiej na mocy postanowień poczdamskich.

W innym fragmencie swego artykułu p. Gołębiowski stwierdza, że „*teren ten jako część terytorium rekompensacyjnego od Niemiec powinien być [Polsce] zwrócony (...)*”.

Otóż Polska nie otrzymała w 1945 r. od Niemiec terytorium rekompensacyjnego, Polska otrzymała kosztem Niemiec rekompensatę terytorialną za ziemię utraconą na Wschodzie na rzecz ZSRR.

Nie chciałbym ustosunkować się natomiast do fragmentów o rzekomych skłonnościach Moskwy do odstąpienia tych terenów Polsce, jednak pragnę zwrócić uwagę, że w polityce wiara w cuda nie jest wskazana.

Na zakończenie zamierzam podzielić się refleksją na poruszany w artykule temat. Wszyscy, którzy dążą do naruszenia północnej granicy między Polską a Rosją (nie

wnikam w to, czy sprawiedliwej czy nie) pamiętać muszą o tym, że wyznaczono ją na Konferencji Poczdamskiej w 1945 r. równocześnie z wyznaczeniem granicy zachodniej. Podważenie tych postępowań w jednej części nieuchronnie doprowadzi do podważenia wszystkich postanowień z Poczdamu, a nie leży to chyba w interesie naszego kraju.

Marek KOWALEWSKI

/Białystok/

1. Norman Davis, Boże Igrzysko, Kraków 1989r., s.134.

2. Karol Górski, Zakon Krzyżacki a powstanie państwa pruskiego, Wrocław 1977r., s.206.

3. Henryk Łowmiański, Prusy-Litwa-Krzyżacy, Warszawa 1989, s. 294 i nast.

4. Historia Polski pod red. H.Łowmiańskiego t.I, cz.2, s.694.

5. Statystyka ludności polskiej w Niemczech „Sprawy Narodowościowe”, 1929, nr 2, s.235.

Wrocław, dnia 15 stycznia 1992 r.

Do wszystkich

Posłów i Senatorów III Rzeczypospolitej Polskiej

na adres

Pana Marszałka Sejmu prof. Wiesława Chrzanowskiego, Pana Marszałka Senatu prof. Augusta Chelkowskiego

Klubów Parlamentarnych w Warszawie

Dot. brania w obronę złodziei przez Ministerstwo Sprawiedliwości III Rzeczypospolitej Polskiej

Panie i Panowie Posłowie i Senatorowie, Po raz kolejny zawiadamiam Was o tym, że Ministerstwo Sprawiedliwości ujmuje się za złodziejami dobra publicznego, tusząc nadużycia na sumę 160 mln dol USA i 1,149 mld zł.

Na mój apel do sumienia poselskiego i senatorskiego z dnia 2 grudnia 1991 r. — nie odpowiedział ani jeden poseł i ani jeden senator.

Posłowie i Senatorowie milczą, mimo że w apelu do ich sumienia pisałem, iż okrada się Polskę, grabi się majątek narodowy, łamie się prawa człowieka i obywatela. Pisałem o rabusiach i o ich dzisiejszych związkach z posłami Jarosławem i Lechem Kaczyńskim. Posłowie i Senatorowie z UD, PC, ZChN, KPN, SLD oraz innych barw i odcieni są solidarni. Milczą.

Pan Prezydent Lech Wałęsa /też otrzymał apel do sumienia/ nie był uprzejmy mi odpowiedzieć. Swoim milczeniem Pan Prezydent potwierdza domysł, że jest przepracowany, bo tyra od rana do nocy. Wierzę, że Pan Prezydent L.Wałęsa bardzo by chciał mi odpowiedzieć, ale nie może.

Prymas Polski Ks. Kard. Józef Glemp /również otrzymał apel do sumienia/ nie odpowiedział mi. Milczy, chociaż powiadomiłem Go, że za polskie pieniądze zabija się ludzi, nie katolików /w Libii Polacy płacą podatek na świętą wojnę muzułmańską — el Jihad — od swoich zarobków, płacą, ponieważ realizując polskie kontrakty, są — za zgodą polskich ministrów — traktowani jako imigranci zarobkowi/. Myślę, że to milczenie

nie podoba się Nauczycielowi Sprawiedliwości, Chrystusowi.

Chwalebny wyjątkiem wśród osobistości życia politycznego i religijnego jest Partia „X” pana Stanisława Tymińskiego. Tylko od tej Partii otrzymałem odpowiedź, list podpisany przez Pana dr inż. Jerzego Fałęckiego.

Panie i Panowie Posłowie i Senatorowie, jeżeli istnieje w nas coś takiego jak zwykła przyzwoitość — to proszę o odpowiedź na moje doniesienia o nadużyciach władzy i o nadużyciach kryminalnych oraz apeluję do Was o publiczne określenie swojego stosunku do tych spraw.

W załączeniu przesyłam dwie informacje prasowe o tej aferze, pt.:

1. „Sprawa Demidowa” c.d. — Jedność Tygodnik Szczeciński, nr 18, 21.12.1991r.

2. „Do wszystkich” — Tygodnik Wprost, nr 3, 19.01.1992 r.

Z poważaniem

Zbigniew DEMIDOW

/dr praw, 12 lat bezrobotny/

Mój adres: Zbigniew Demidow, ul. Wita Stwosza 37 m 17, 50-149 Wrocław

Szanowna Redakcjo!

Brawo za zamieszczenie artykułu Kazimierza Dadaka. Przeprowadziłam po jego przeczytaniu ankietę wśród znajomych inteligentów. Pytanie brzmiało-jak wygląda nasze zadłużenie zagraniczne po tzw. redukcji długu?

Wszyscy jak jeden mąż odparli naiwnie, że jesteśmy po tym wielkim sukcesie winni połowę należności głównej, a odsetki to mamy z głowy. Można więc odetchnąć na lat parę, mając w perspektywie spłatę tylko około dwudziestu pięciu miliardów. Jak genialnie prosto można oszukać nawet oświecone warstwy!

Przyzwyczyliśmy się walczyć o grosze, do pensji, do renty, ale swoje, wymierne, jednocześnie pozwalając się grabić z mieszkań, samochodów, wykształcenia i przyzwoitości.

Przecież nie było tajemnicą, że wysokość naszego zadłużenia nie jest bliżej znana nawet decydentom, czy nie należało już wtedy bić na alarm, żądać informacji i odpowiedzialności?

Pozywa się teraz przed Trybunały Stanu i Historii za ideologię, a nie za politykę finansową, za działalność banków, które nie spełniają swych ustawowych zadań, nie umieją gospodarzyć powierzonymi oszczędnościami, nie sprawdzają zdolności kredytowej, wypłacają odsetki od sum, które nie figurują na ich koncie. etc.

Czym jest w obecnej sytuacji kredytowanie bankrutów lub „znajomych”.

Nie można tego traktować jako abstrakcyjnych operacji, najeżonych niezrozumiałą terminologią, dotyczących „onych”

To ordynarna grabież w majestacie kompletnej niewiedzy społeczeństwa.

Wytworzyła się już grupa budująca fortuny na pośrednictwie między bankiem polskim, który gwarantuje długie zaciągane zagranicą.

Załatwienie takiej gwarancji kosztuje od 50 do 100 tys. dolarów.

Tak rodzi się klasa średnia, spośród „znajomych” decydentów.

Mam pełną świadomość, że rodzi się mój koszt i bardzo chciałabym przybliżyć ją wszystkim okradanym. Jednocześnie wiem, że żadna grupa związana z establishmentem nie ma i mieć nie będzie interesu w uporządkowaniu tych spraw /wiadomo w mętnej wodzie/

Nikomu też nie zależy na propagowaniu praktycznej, popularnej wiedzy na temat gospodarki finansowej, bankowej, kredytowej itp. Gdybyśmy ją bowiem posiadali, nie-możliwe byłoby wciskanie społeczeństwu takich bzdur, jak 50% redukcja zadłużenia,

czy luki w prawie umożliwiające rzekomo bezkarne działania złodziei.

Jak więc bronić się i uczyć kontrolowania tego trzęsawiska?

Cała nadzieja, jak zawsze w ludziach, fachowcach, takich jak K.Dadak i tych, którzy uczą się pragną. Liczymy /ja wraz z przyjaciółmi/ na kontynuowanie artykułów p.Dadaka, może w formie stałej rubryki odpowiedzi na pytania. Na początek chcielibyśmy wiedzieć:

1/ jak sprawdzić wysokość kapitału akcyjnego? Rejestr handlowy to przecież tylko deklaracja. Oszustwa mnożą się.

2/ jak sprawdzić stan zadłużenia banku w innych bankach i tym samym rzeczywistą kondycję banków?

jak sprawdzić wiarygodność zagranicznych akcjonariuszy banków?

3/ jak uzyskać wgląd, jako klient banku w jego politykę?

4/ jaki jest zakres tajemnicy bankowej w stosunkach międzynarodowych, czy można uzyskać informację o obcym inwestorze we wskazanym przezeń banku lub innych?

Zdaję sobie sprawę z ogromu trudności przy odpowiedzi na te „proste” pytania. Byłoby już znaczącą pomocą wskazanie literatury np. anglojęzycznej na hasło-jak doświadczony i normalny świat broni się przed oszustami, skorumpowanymi urzędnikami i układem pośrednik-decydent, korzystający z kredytu lub gwarancji.

Bez pewnej podstawowej wiedzy nie można kontrolować, nie tylko nieodpowied-

zialnych anuncjacji naszych polityków, lecz również pracy organów ścigania i sądów. Tu leży odpowiedź na pytanie - dlaczego żadna z afer nie znalazła się jeszcze w sądzie?

Nie wierzę, aby wiadomości z tej dziedziny, były dostępne jedynie dla wąskiego grona geniuszy. Wielu ludzi, w tym prawników chce poznać rzeczywiste reguły rządzące naszymi podatkowymi pieniędzmi.

A poznać to, znaczy nie dać się dalej okradać.

Temu celowi ma służyć Fundacja Pamięci Michała Falzmanna, o której programie i celach napiszę szerzej, po rejestracji.

Liczę na Waszą pomoc i zrozumienie konieczności organizowania samoobrony społeczeństwa przed polityką władzy gospodarczej.

adw. Zofia ADAMOWICZ
Warszawa

Jaka prokuratura?

Afera Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego (FOZZ-u) przekracza wyobrażenia zwykłego obywatela gdyż porównywalna jest z budżetem państwa. Wykręcił ją i poruszył opinię społeczną ś.p. Michał Falzman zmarły na zawał serca w lipcu ub.r. Teraz jego żona Izabella Brodacka-Falzman otrzymała od Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie odmowę udziału w sprawie w charakterze pokrzywdzonej. Poniżej drukujemy jej odwołanie, które zdecydowała się podać do wiadomości publicznej.

(km)

Warszawa 1992-01-20
Prokuratura Wojewódzka
Wydział Śledczy
w Warszawie
Krakowskie Przedmieście 25
V Ds 115/91

Otrzymałam odmowę udziału w sprawie w charakterze pokrzywdzonej. Wiem, że nie służy na nią żaden środek odwoławczy, jednakże nie mogę pogodzić się z decyzją, jej uzasadnieniem prawnym, a zwłaszcza utrwaleniem pewnej praktyki organów ścigania.

Nie mogę brać udziału w sprawie, ponieważ przedmiotem przestępstwa jest mienie społeczne, pokrzywdzonym jest Skarb Państwa, którego interes realizuje Prokuratura. Teza ta zaprzecza oczywistości, że mienie społeczne jest majątkiem wypraco-

wanym przez jednostki, które będą też ponosić ciężary nadużyć dokonanych przez „pokrzywdzone instytucje państwowe” /art.41 <223> 1 kpk/. To nie abstrakcyjny Skarb Państwa spłaci polskie długi, ale ja, moje dzieci i miliony takich jak my.

Czyje więc dobro prawne zostało bezpośrednio naruszone?

Czy podatników zmuszonych do rezygnacji na długie lata z godziwego życia, z normalnego leczenia, edukacji, zaopatrzenia na starość?

Czy też dobro nieistniejącego „organu” FOOZ-u, lub organów inspekcji i kontroli opłacanych przez tychże podatników?

Anachroniczna, sprzeczna z rzeczywistością interpretacja mienia społecznego, jako środków własnych Skarbu Państwa ma wesprzeć kolejne założenie, że to organy inspekcji i kontroli ujawniły aferę FOOZ-u.

Prokuratura Wojewódzka musi wiedzieć, sprawiły że ujawnienie tych nadużyć nastąpiło wbrew interesom i działaniom organów powołanych do kontroli. Musi o tym wiedzieć, ponieważ sama nie sprawowała żadnej kontroli w sferze przestrzegania prawa nad działalnością Funduszu, chociaż nie wymagało to dużego wysiłku. Wystarczyło przeczytać ustawę o powołaniu FOOZ-u, aby stwierdzić, że jej podstawowe wymogi, jak prowadzenie księgi zadłużenia, obowiązek sporządzania bilansów i kontroli ministerialnej, nigdy nie były realizowane. Gdy mój mąż rozpaczliwie sygnalizował gigantyczne nadużycia, efektem było odsunięcie

go od kontroli i zaszczucie na śmierć. Tak więc to nie „pokrzywdzone” instytucje kontrolne dokonały ujawnienia przestępstwa, ale konkretni ludzie, prasa w kraju i zagranicą, rewelacje w RFN, że sprawy nie dało się utrzymać w tajemnicy. Przypisywanie cudzych zasług skandalicznie działającym służbom nie rodzi zaufania do ich dalszej działalności.

Na jakiej podstawie mam zaufać, że trudny mój mąż nie ulegną zaprzepaszczeniu i śledztwo ujawni wszystkich sprawców oraz ich wzajemne powiązania?

Dotychczasowy przebieg postępowania przygotowawczego rodzi poważne obawy i wątpliwości. Zastanawiająca jest wielomiesięczna bierność i oczekiwanie Prokuratury na dokonanie rutynowych czynności, które w zwykłej sprawie kryminalnej są realizowane natychmiast.

Dlaczego upływały miesiące do zabezpieczenia dokumentacji i mienia osób zarządzających Funduszem i sprawujących nadzór?

Dlaczego roztrząsano rzekome luki w prawie, zamiast przeczytać kodeks karny, przepisy o marnotrawstwie? Dlaczego umożliwiano sprawcom nadużyć bezpieczne matactwo i wywóz pieniędzy z kraju? Pytania można mnożyć? (...)

Prawidłowa interpretacja art. 40 i 41 kpk zezwala na udział w sprawie osób rzeczywiście pokrzywdzonych. Uważam, że do takich należą.

J. BRODACKA-FALZMANN

Redakcja miesięcznika
„Solidarność Walcząca”
Poznań

W 1990 roku, naiwnie licząc na podobno już wtedy w Polsce panującą swobodę wypowiedzi, nieopatrznie — jak to się miało później okazać — pozwoliłem sobie w centralnej prasie wyrazić swoją zupełnie niezależną opinię o działalności — w stalinowskich latach 1945-56 — człowieka, którego imienia czy nazwiska, ani nawet inicjałów nigdzie nie podałem. Urażona wdowa, w oparciu o art. 178 par. 2 obecnie jeszcze obowiązującego komunistycznego

Kodeksu Karnego, wystąpiła z prywatnym aktem oskarżenia do sądu, który w imieniu III Rzeczypospolitej oskarża mnie o to, że skorzystałem z przysługujących mi praw obywatelskich zagwarantowanych właśnie przez Polskę podpisaną Konwencją Europejską.

Merytoryczna strona sprawy nie ma tu żadnego znaczenia — rozstrzygnie ją sąd. Dla mnie jest ona tylko i wyłącznie pretekstem do zwrócenia uwagi na zadziwiający fakt, że Polska z jednej strony podpisuje konwencję chroniącą prawo do wolności słowa, a z drugiej, w dalszym ciągu ściga w

procesie karnym — i to z prywatnego oskarżenia — swoich obywateli za praktyczne korzystanie z ich uprawnień do swobodnego i niczym nie skrupowanego ujawniania swoich myśli.

Jest sprawą oczywistą, że każde publiczne rozpowszechnianie obiektywnych faktów nie każdemu bywa na rękę, ale w demokracji jest konieczne i dlatego wolność słowa nie może być karnie ograniczana jakimkolwiek prywatnym interesem — inaczej, będziemy chyba musieli odpowiedzieć na pytanie, czego szukamy w Europie.

Jan A. TOMASZKIEWICZ

Losy Asyryjczyków (cz.1)

W n-rze 37(253) jeszcze wtedy Tygodnika „SW” opublikowaliśmy artykuł Ewgena War-da o dziejach Asyryjczyków pt. „Mój 'martwy' naród żyje”. Obecnie drukujemy pierwszą część obszernego opracowania Michaela Abdalla o dziejach tego narodu. Dokończenie w następnym n-rze.

Ogólna liczba Asyryjczyków wynosi obecnie około 3 mln osób. Prawdopodobnie byłaby o jeden rząd wielkości wyższa, gdyby nie fakt, że przez wieki panowania muzułmanów siłą zostawali nawracani na islam, przez co automatycznie tracili tożsamość narodową. Od czasu przyjęcia chrześcijaństwa w I w. Asyryjczycy grupowali się wokół Kościoła, który jednak stawiał kwestię przynależności narodowej na dalszym planie.

Będąc pod obcym panowaniem, oficjalne przyznawanie się do asyryjskości było karalne. Stąd, znaczna ich część, w dużej mierze za sprawą Kościołów będących z reguły lojalnymi wobec władzy państwowej, zapomniiała o swoich korzeniach, nazywając się po prostu chrześcijanami Wschodu. Nawet obecnie przynależność narodowa Asyryjczyków jest nieraz ukrywana, a w oficjalnych spisach przypisuje im się automatycznie pochodzenie arabskie, tureckie, perskie lub nawet kurdyjskie.

Najwięcej Asyryjczyków żyje nadal w historycznej ojczyźnie, Mezopotamii, na pograniczu dzisiejszego Iraku, Iranu, Turcji i Syrii. Liczne i zwarte skupiska znajdują się zwłaszcza w północnym Iraku, dokładnie tam, gdzie rozpościerała się ongiś starożytna Asyria ze stolicą w Niniwie /dzisiejszy Mosul/, zniszczoną w roku 612 przed Chr. Ogromna liczba zabytków starożytnej kolebki, wypełniających poważne muzea świata, nie pozwala zapomnieć o wiekach rozkwitu i wielkich dokonaniach państwowości asyryjskiej. Doprawdy nie sposób wytrzeć z pamięci ponad 67 wieków bogatej i wciąż żywej historii.

O późniejszych losach narodu wspominają kroniki perskie oraz greccy i rzymscy kronikarze i podróżnicy. Na mapie administracyjnej regionu za panowania rzymskiego figurowały dwa asyryjskie okręgi: „Assyria” i „Adiabene”, które przetrwały do VII w po Chr. To w nich apostołowie Tadeusz i Tomasz szerzyli nową wiarę w miejscowym języku. Już w roku 131 w Arbili /Arbil/ znajdowało się arcybiskupstwo. Jak trudne było położenie Asyryjczyków w obrębie ówczesnych mocarstw Wschodu, świadczy pochodzenie satrapy prowincji Niniwy /V w/ imieniem Sanharib, którego dwoje dzieci, Behnam i Sara, po przyjęciu chrześcijaństwa ponieśli męczeńską śmierć. Zbudowany wówczas klasztor pod wezwaniem św. Behnama należy do najstarszych i wciąż czynnych obiektów sakralnych chrześcijan w Iraku.

Mosul, Arbil, Kirkuk, Zacho - to miejscowości w północnym Iraku, które nierozdzielnie są związane z Asyryjczykami od tysięcy lat. Dziś stanowią w nich blisko 30-

40% mieszkańców. Po arabskim podboju tych terenów (VII w. po Chr.), zaczęły do nich napływać różne, często dzikie ludy, nie mające tu żadnych przedtem korzeni. Po raz pierwszy w historii nazwa Kurdystan pojawiła się dopiero w XII w. Żadna dotąd ekspedycja archeologiczna nie natrafiła jeszcze na jakikolwiek ślad, który by świadczył o udziale Kurdów w tworzeniu cywilizacji Mezopotamii.

Napływowe grupy tymczasem nieustannie uzurpują sobie prawo do najdawniejszej historii regionu. W tym duchu zakłamania, wychowywały się już całe pokolenia Arabów i Kurdów. W podręcznikach i środkach propagandy bezpodstawnie powtarza się, że to oni są jedynymi potomkami starożytnych Sumerów, Babilończyków i Asyryjczyków. W filmowych kadrach i książkowych ilustracjach utrwaliły się podobizny Saddama Huseina obok płaskorzeźb przedstawiających wielkich królów i myślicieli starożytnej Mezopotamii. Iracki dyktator lubi się utożsamiać m.in. z Hamurabim, pierwszym prawodawcą. Rozważania o poszanowaniu uczuć narodowych tam, gdzie od 1300 bez mała lat istnieje dość wyraźny podział na „prawdziwych obywateli” - muzułmanów i zmuszonych mieścić się w wąskich ramach określonych nawet przez konstytucję - chrześcijan, doprawdy wydają się tylko pobożnym życzeniem w świecie islamu.

Asyryjczycy nie mają siły przebicia. Nieliczne ich zrywy narodowe kończyły się z reguły masakrami, dokonanymi przez otaczających ich zewsząd muzułmanów.

Tak było w 1946, 1895, 1914-1918, 1933 i w latach następnych. Kreśląc granice powstałych po rozpadzie imperium otomańskiego państw Europejczycy nie uwzględniali historyczności i aspiracji narodowych Asyryjczyków, ani ich wielkiego wkładu w szerzeniu chrześcijaństwa m.in. w Indiach i Chinach i zachowaniu tej wiary po dzień dzisiejszy, co nadal kosztuje bardzo wiele wyrzeczeń. Rozgrywki polityczne mocarstw europejskich o wpływy w regionie uniemożliwiły ustanowienie tam w latach I wojny światowej sprawiedliwego podziału terytorialnego, w którym znalazłoby się miejsce i dla Asyryjczyków, wcale nie kosztem innych nacji. Jak wykazała historia ostatnich dziesięcioleci wybuchające konflikty zawsze mogą być wykorzystane do rozmaicie uzasadnionych form interwencji.

Żyjąc w straszliwych warunkach pod panowaniem otomańskim i w Iranie, - gdzie dla opętanych fanatyków muzułmańskich mordowanie chrześcijan było zajęciem codziennym, mieszczącym się nawet w ich normalnych obowiązkach religijnych, - w swych wysiłkach do uzyskania niepodległego bytu w państwowym Asyryjczycy byli zmuszeni szukać sojuszników. Nie odrzucali żadnej propozycji pomocy, wysuwanej przez ówczesne mocarstwa europejskie tylko dlatego, że wyznawały one - podobnie jak Asyryjczycy - tę samą wiarę. Myśl o zdradzeniu ich przez braci w Chrystusie nigdy nie

wchodziła w rachubę. Okazało się jednak, że ewentualne wyciągnięcie do nich ręki było obwarowane zapewnieniami swobody działalności misyjnej dla Europejczyków. Dziwne, że owi „misjonarze”, którzy pojawili się w Mezopotamii już w XVIw., mieli z góry wytyczone zadanie nawracania tylko i wyłącznie autentycznych chrześcijan Wschodu. By ten cel osiągnąć, nie wahali się nawet przed przekupywaniem i buntowaniem muzułmańskich fanatyków, szczególnie zaś Kurdów,



którzy ogniem i mieczem karali Asyryjczyków i niszczyli ich kulturę, pałac bądź wręczając do rzek bezcenne rękopisy, co - zdaniem misjonarzy - „miało uczynić ich bardziej podatnymi na słowo boże”. Doprowadziło to do bolesnego faktu, mianowicie - rozbicia i tak nękaną przez wieki Kościół Bliskiego Wschodu na mniejsze odłamy.

O pozyskiwanie Asyryjczyków ubiegali się równocześnie Rosjanie, Francuzi, Anglicy. Największe szanse z powodu bliskości i ciągłych konfliktów z sąsiadami: Persją /1826-1828- i Turcją -1853-1856- mieli wszakże Rosjanie. Zaniepokojeni tym zbliżeniem się Asyryjczyków i Rosjan, Niemcy zawarli 2 VIII 1914r. sojusz z Turcją, którego konsekwencją były jedne z największych w historii masakr, określonych przez znawczynię problemu chrześcijan Asyryjskich, Gabriele Yonan, jako „Pierwszy Holocaust”. Dla uchodzących z życiem, nielicznych grup Asyryjczyków, powstały obozy na Zakaukaziu, podobne do tych, które rok temu zorganizowane dla uchodźców iraackich. W konsekwencji wojny domowej w Rosji wojsko rosyjskie wycofało się z koalicji antyniemiecko-tureckiej zostawiając Asyryjczyków na państwie losu. Anglikański misjonarz, William Wigram, przebywający wówczas w asyryjskim mieście, Urmii /Iran/, w swej książce „Nasz najmniejszy sojusznik” opisuje mrozące krew w żylach sceny rzezi dokonanych na Asyryjczykach przez Kurdów, Persów i Turków. Nie tracąc nadziei Asyryjczycy ogłosili w 1917r. w Tibrizie statut Wolnego Państwa Asyryjskiego. Swym zasięgiem miało obejmować historyczne ziemie na pograniczu powstałych później w obecnych kształtach państw, tj. Turcji, Syrii, Iraku i Iranu. Jego twórca Faridon Aturaja (1891-1925) był ofiarą intryg angielskich służb i z rozkazu Stalina został stracony w Tbilisi. „Assyria” miała wejść w skład dopiero co tworzących się republik radzieckich.

Powstała po Rosjanach luką sprytnie wykorzystali Anglicy. Aktualizując daną Asyryjczykom obietnicę utworzenia własnego państwa, umiejętnie podtrzymywali zapal dzierżymy górali asyryjskich, wprawionych w bojach przeciw Turkom i ich lokalnym sojusznikom - Kurdom. Mieli oni stanowić jakby tarczę ochraniającą dostęp Anglików do zasobów ropy naftowej. Równocześnie Anglicy i Persowie buntowali Kurdyjskiego przywódcę Semko, który we własnym domu podstępem zgładził swojego gościa, asyryjskiego patriarchę, Benjamina Mor Szymona (1918r.)

Męczeńska śmierć duchownego przywódcy stała się początkiem procesu wykośnienia Asyryjczyków ze swej historycznej ziemi. Turcy, Kurdowie i Persowie, z szatańską nienawiścią terroryzowali ludność chrześcijańską. Anglicy zaś, swoją wielotwarową grą dyplomatyczną, wciąż zachęcali Asyryjczyków do przemieszczania się z jednej prowincji do drugiej, między krajami regionu. Podczas kolejnych exodusów byli ciągle napadani i mordowani, niewiasty i dzieci porywane, bądź wrzucane do rzek. Tysiące dorosłych zmarło w górach z zimna i głodu. Z około 300 tysięcy, którzy przeszli 900 km górkimi ścieżkami z Urmii, do docelowego Hamadanu dotarło zaledwie 200 tysięcy. Tam Anglicy wykorzystali ich do budowy strategicznej drogi łączącej Hamadan z Kermanshahem i Khanekinem. Codziennie umierało z wycieńczenia średnio 60 osób. Z pozostałych przy życiu utworzono 4 oddziały liczące 32 tysiące żołnierzy. Mieli oni bronić bogatego w ropę północnego Iraku przed wtargnięciem Turków.

30 X 1918 Anglicy podpisali z Turcją układ pokojowy, podtrzymując równocześnie wcześniejsze zapewnienia dla Asyryjczyków o rychłym powrocie do swych, wyzwolonych już, regionów: w Turcji /Hakkari/ i Iranie /Urmia/. Tymczasem w planach Anglików zaczęły się zarysowywać granice regionu, gdzie Syria i Irak miały być odłączone od państwa otomańskiego.

Jedną z ostatnich baz asyryjskich tułaczy stała się Bakuba w Iraku, gdzie zostali umieszczeni w prawdziwych obozach koncentracyjnych. W ciągu dwóch lat węgietacji w prymitywnych warunkach obozowych zmarło ich ponad 33 tysiące osób. Ogólny zaś bilans I wojny światowej był niezwykle tragiczny dla Asyryjczyków. Ich liczebność zmniejszyła się aż do połowy. W napisanych w tym czasie książkach często porównuje się los Asyryjczyków do losu Inków i Azteków. Niektóre książki zatytułowano wprost „śmierć narodu”.

Pomimo tych ogromnych strat, nadal do świadomości Asyryjczyków nie docierało, iż są oni ofiarą konsekwentnie prowadzonej polityki „dziel, morduj i rządź”, - że są oni „mięsem” dla angielskich armat. Znowu wierzyli Anglikom, którzy zapewnili, iż naklonili władze Turcji do uznania praw zamieszkających na jej terytorium narodów do samostanowienia. Asyryjska delegacja była już gotowa do wzięcia udziału w obradach Konferencji Pokojowej w Paryżu. Na jej czele stanęła Surma Khanem, siostra patriarchy. 19 lipca 1919r. delegacja zawitała w Paryżu, jednak Anglicy skierowali ją do Londynu oznajmiając, że tylko tam znajduje się klucz do

rozwiązania kwestii asyryjskiej. Asyryjskie postulaty były bardzo skromne: ukaranie zbrodniarzy wojennych, uwolnienie jeńców i swobody religijne dla chrześcijan.

Delegację przetrzymano w Londynie aż do zakończenia obrad Konferencji Paryskiej. Surmie udało się jedynie przedstawić swoje żądania na posiedzeniu Izby Lordów w dniach 17-19 XII 1919r. Ale Anglicy nie zobowiązali się do ich realizacji.

Na przełomie lipca i sierpnia 1920r. Turcja ogłosiła kapitulację. Znowu kwestia asyryjska miała szansę być rozpatrywana, jednak Anglia głosowała przeciwko twierdząc, iż Asyryjczycy nie byli sojusznikami krajów Ententy, lecz powstańcami antytureckimi. W konsekwencji ustaleń Konferencji Pokojowej w Sevres /10 VIII 1920r./ Irak dostał się pod mandat brytyjski. Na stronie 62 uchwały tejże Konferencji znalazło się sformułowanie o konieczności zabezpieczenia pełnej ochrony dla Asyryjczyków w Iraku i Turcji. Asyryjski generał, Aga Petros, który miał plan skutecznego stawienia czoła Anglikom, został przez nich wygnany do Paryża i tam otruty.

Tereny prowincji Mosulu, które weszły w skład angielskiego mandatu, były odtąd areną krwawych walk między Turkami i Kurdami z jednej strony, a wspieranymi przez 60-tysięczną armię angielską Asyryjczykami. Właśnie ta prowincja północnego Iraku została przyobiecana Asyryjczykom. Stąd skutecznie jej bronili, wierząc równocześnie w rychłe wyzwolenie pozostałych swych terenów: Hakkari i Urmii. Gdy asyryjska delegacja udała się w tym celu na konferencję w Lozannie, Anglicy jej nie wpuścili. Konferencja nie rozstrzygnęła nawet kwestii prowincji Mosulu z powodu twardego stanowiska Turcji, uznającej jej wyłączne prawo do tej prowincji. Problem ten został więc automatycznie włączony do punktów obrad kolejnej konferencji, która odbyła się w Konstantynopolu w dniach 19 V-5 VI 1924r.

I tym razem obeszło się bez konkretnych rozstrzygnięć dla kwestii asyryjskiej. Nie przyjęto propozycji poszerzenia terytorium Iraku, by objęło region Hakkari, głównie z myślą o Asyryjczykach, którzy nie życzyli sobie żyć dalej pod tureckim jarzmem. Spór o granicę iracko-turecką rozwiązano ostatecznie po wielu debatach m.in. podczas 35 i 37 Konferencji Ligii Narodów /1925r./ i na forum Trybunału Międzynarodowego w Hadze, przyznając okrug Mosulu do Iraku, a Hakkari do Turcji i przewidując 25-letni mandat angielski nad Irakiem i francuski nad Syrią.

Podkreślić należy, że leżące na wschód od rzeki Eufrat, a graniczące z Turcją prowincje, zostały wyzwolone od Turków głównie przez oddziały asyryjskie. Ten fakt uczczono wielką manifestacją zorganizowaną w dniu 23 IV 1923r.

Turcja wykorzystwała powstałą sytuację, by rozprawić się z pozostającymi w Hakkari bez opieki Asyryjczykami. Często dochodziło do poważnych potyczek na granicy, której - co trzeba podkreślić - dobrze strzegły asyryjskie oddziały wspierane nieraz przez lotnictwo brytyjskie, Surma Khanem została za to odznaczona wysokim medalem brytyjskim i upewniona, iż Anglia weźmie pod

uwagę ofiarności Asyryjczyków przy rozważaniu ich dalszych losów w Iraku. Tymczasem powracający zewsząd /m.in. z Rosji, Grecji i Turcji/ do swoich najbliższych w okolicy Mosulu Asyryjczycy, zasilali walczące tam oddziały chrześcijańskie przeciwko fanatykom muzułmańskim.

Asyryjczycy zostali zmuszeni pogodzić się z faktem niemożności zapewnienia sobie własnej kontroli nad Hakkarim i Urmia. Nie są bowiem w stanie na próżno walczyć z dysponującymi ogromnymi siłami Turcją, Persją i Irakiem. Zdali sobie sprawę, że nawet minimum wolności na ziemiach praojców może dać im jako taką stabilizację. Zaczęli więc czynić starania o pozwolenie im żyć razem w okolicy Mosulu. Wierzyli w taką możliwość dopóty, dopóki Irak nie był jeszcze krajem samodzielnym, lecz pod protektorem Anglii. Jednak w roku 1929 Anglia nagle zmieniła swą taktykę wobec Iraku, proponując przyjęcie go w poczet Ligii Narodów i pozwolić się usamodzielnic w 1932r. władze Iraku w osobie Nuri'ego As-Saida podpisały akt lojalności wobec Anglii, a w rok później Irak stał się członkiem Ligii Narodów i marionetką polityczną, ekonomiczną, wojskową i kulturalną w rękach Anglików. Owe porozumienie pomiędzy Irakiem a Anglią nie zapewniło Asyryjczykom nic. Korzystając z cichego poparcia Anglii Irak zmobilizował wszystkie środki, by rozbić jedność Asyryjczyków, buntować przeciw nim Kurdów, wziąć ich głodem, terroryzować i uprowadzać przywódców. Zaczęły się masowe zwolnienia z pracy, napady na wioski, palenia zasiewów, kradzieże bydła, zamykanie szkół i zabranianie nauki języka ojczystego. Zmuszono ich do płacenia pogłowia jak za pierwszych wieków islamu. Dobrze wyszkolone bandy kurdyjskie i arabskie niestanie straszyły i mordowały znanych przedsiębiorców, rolników, nauczycieli i duchownych. Słowem, Asyryjczycy żyli w warunkach niewolniczych. Skarżyli się gdzie się dało, m.in. u papieża Rzymu, na swoje coraz trudniejsze położenie i udokumentowali słuszne obawy przed mającymi nastąpić masakrami. Jednak bez najmniejszej reakcji z zewnątrz. Wreszcie, wobec czytelnego już polityki Anglii, zmierzającej do wszelkich ustępstw, by zachować nieograniczone wpływy w Iraku. Asyryjczycy zaczęli masowo opuszczać szeregi wojska angielskiego. Anglia i Irak, działając odtąd wspólnie, bojkotowały każdą możliwość dotarcia przedstawicieli asyryjskich do Ligii Narodów.

Przewodniczący październikowej sesji 1932 r., przedstawiciel Norwegii, poruszył jednak kwestię asyryjską i przypomniał, że Irak jest zobowiązany do przestrzegania praw mniejszości narodowych. Do tej kwestii powrócono podczas kolejnych sesji Ligii Narodów odbytych 5 i 15 XII 1932r. Przyjęta uchwała: „Osiedlenie Asyryjczyków razem w jednym zbiorowisku nigdy nie została zrealizowana. Powracający z Genewy /19 XII 1932r./ asyryjski patriarcha, Mor Szymon, nie został wpuszczony do Iraku. W Damaszku spotkał się z przedstawicielami swego ludu, gdzie oficjalnie oznajmił, iż zostali zdradzeni przez Anglików.

Michael ABDALLA

W HOŁDZIE DLA RAYMONDA ARONA

Raymond Aron, który zmarł w Paryżu w październiku 1983 roku w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, był jednym z wielkich intelektualistów europejskich tradycji liberalnej i najjaśniejszym francuskim myślicielem politycznym tego stulecia. Niezwykle wielostronny jako uczonec - był równocześnie filozofem, historykiem i socjologiem - Aron był też niestrudzonym komentatorem bieżących wydarzeń politycznych. Jako komentator „Le Figaro”, a później „L'Express”, współtworzył postawę całego pokolenia umiarkowanych polityków francuskich. Jako autor polemicznych esejów był w powojennej Europie jednym z najczęściej i najdonioślej brzmiących głosów - być może najdonioślej, z uwagi na swą mądrość, umiar i zdecydowaną wolę obrony wolności politycznej.

Przez większość minionego dziesięciolecia Aron był we Francji powszechnie uważany za jednego wybitnego intelektualistę swojego pokolenia, który nie popełnił poważnych błędów w istotnych kwestiach społecznych. Jego pamiętniki, opublikowane kilka tygodni przed śmiercią Autora, zostały entuzjastycznie przyjęte i znalazły się natychmiast na jednym z pierwszych miejsc francuskiej listy bestsellerów; był to kolejny znak, że Raymond Aron był przedmiotem powszechnego szacunku.

Nie zawsze go doceniano. Większość kariery Arona upłynęła w konflikcie z dominującym we Francji klimatem intelektualnym, a jego poglądy na ogół odrzucano. „Lepiej myśleć się razem z Sartrem, niż mieć rację z Aronem”, powtarzała przez długie lata francuska lewica. (...)

Dorobek Raymonda Arona jest bardzo różnorodny, a walka z totalitaryzmem jest tylko jednym ze składników jego dzieła.

Jest to jednak składnik centralny. Doświadczenia Arona jako młodego naukowca w Niemczech w okresie zdobywania władzy przez Hitlera zaważyły na całym jego życiu; od tamtej pory był już zawsze świadom kruchości systemów politycznych, które opierają się na wartościach liberalnych.

(...) zdał sobie sprawę z tego, że rozszerzenie się zasięgu władzy sowieckiej na centralny obszar Europy oraz siła i ambicja zachodnioeuropejskich partii komunistycznych stawiają Europejczyków na zachodzie wobec fundamentalnego i nieuniknionego wyboru politycznego: mogą oni być albo za, albo przeciwko dalszemu rozszerzaniu się rewolucji komunistycznej. W okresie powojennym żaden intelektualista nie wypowiadał się mądrzej i wnikliwiej o wadze tego wyboru i o rozważeniu oraz realizmie, jakich on wymaga.

(...) Aron wytoczył przeciw francuskiemu intelektualistom marksistowskim bardzo poważne oskarżenie: że ich pobłażliwa postawa wobec polityki sowieckiej i ambicji francuskiej partii komunistycznej jest zdradą najbardziej żywotnych tradycji własnej cywilizacji.

(...) Nic dziwnego, że na początku lat pięćdziesiątych Aron był nieomal jedynym intelektualistą francuskim, który jednoznacznie opowiadał się za integracją Francji z sojuszem atlantyckim. Krytykując francuski marksizm, chciał m.in. jasno określić, przed jakimi wyborami dyplomatycznymi stoi Francja i rozproszyć ideologiczną mgłę, w jakiej tonęły wówczas dyskusje w tej sprawie. (...) Stwierdzając z naciskiem, że potrzebny jest wspólny wysiłek obronny Zachodu, w tym wspólny amerykański by zrekompensować do minimum sowiecką pokusę posuwania się dalej na zachód, Aron

podkreślał też wielokrotnie w latach pięćdziesiątych, że siła militarna pozwala osiągnąć tylko ograniczone cele.

Scott McCONNELL

/przedruk za: „Nie na trzeciej drogi”, Konfrontacje nr 14, wyd. IDEE/

Raymond Aron zajmuje szczególne miejsce w intelektualnym świecie Francji. Wykształcenie filozoficzne i polityczne, jakie odebrał powinno go było zaprowadzić w stronę zaangażowania podobnego temu, któremu dali wyraz inni przedstawiciele jego pokolenia, przede wszystkim Jean-Paul Sartre, jego przyjaciel z czasów młodości, i Maurice Merleau-Ponty.

Dlaczego więc związał się coraz mocniej z tradycją myśli liberalnej, mało dziś rozpowszechnioną we Francji, chociaż tu się rodziła, pod piórami Tocqueville'a czy Constanta, natomiast dzisiaj znacznie silniej obecna w krajach anglosaskich.

Dlaczego w okresie, gdy większość intelektualistów nie chciała pogodzić się z podziałami, wytworzonymi przez zimną wojnę, wypowiedział się zdecydowanie za sojuszem atlantyckim i przeciwko neutralności, wyciągając z tego konkretne wnioski, pisząc komentarze dla „Le Figaro” i upominając się o powrót generała de Gaulle'a do władzy?

Jean-Luis Missika

Dominique Wolton

/przedruk za: Raymond Aron „Widz i uczestnik”, wyd. CDN W-wa 1984/

Publikujemy pierwszą część rozdziału książki Raymonda Arona „Memoires” pt. Podział Europy. Dokończenie w dwóch następnych n-rach.

PODZIAŁ EUROPY * (cz.1)

Wkrótce po kapitulacji III Rzeszy stworzyłem sobie całościowy obraz politycznej koniunktury europejskiej, a nawet światowej. Zaskakiwałem często moich rozmówców z „Point de Vue” („Punkt widzenia”), stwierdzając, że Niemcy pozostaną podzielone przynajmniej przez jedno pokolenie. W dwadzieścia lat później chętnie bym się o to samo założył. Uzupełniając trzeba stwierdzić, że zagrożenie, jakiego doznali Francuzi ze strony niemieckiej między rokiem 1870 a 1945 należy do przeszłości. Państwo położone w centrum kontynentu - Rzesza, zajmując pierwsze miejsce w Europie czuła się otoczona i zagrożona przez swoich sąsiadów stanowiąc równocześnie na skutek swojego prymatu zagrożenie dla krajów z nią graniczących na wschodzie, jak i na zachodzie. To wzajemne zagrożenie należy uznać za rzeczywiste. Sojusz ze wschodnimi sąsiadami Niemiec w naturalny sposób narzucał się Francji by zrównoważyć potęgę Rzeszy. Najpierw alians francusko-rosyjski, po którym nastąpiło porozumienie Anglików, Amerykanów i Rosjan otoczyło II i III Rzeszę stalową obręczą.

Niemcy po roku 1945 - amputowane od wschodu, z częścią swego narodu podporządkowanego reżimowi sowieckiemu - nie mogą stanowić już zagrożenia dla swego słowiańskiego sąsiada: Związku

Radzieckiego, władcy państw, które wcześniej dzieliły go od Niemiec. Niemcy nie mogły również stanowić wówczas zagrożenia dla Francji czy sojuszu francusko-angielskiego jak to miało miejsce w 1940r. Ponadto na skład tego sojuszu wchodziły od tamtych czasów Stany Zjednoczone. Niemcy, „kuper” Zachodu utraciły swoje pierwotne znaczenie i nie stanowiły przeciwwagi wobec giganta Nowego Świata.

Krótko mówiąc: Przynajmniej przez dwadzieścia lat Niemcy Zachodnie będą należały niezależnie od woli Francuzów, do tego samego obozu politycznego co Francja - obozu zachodniego, obozu demokratycznego. Niemcy i Francuzi będą podlegać tym samym mechanizmom i podzielać wspólny los. Racjonalne przesłanki i argumenty pozostawały w sprzeczności z odczuciami serca.

Czy napisałem w czasie wojny chociaż kilka tekstów, które można by ohrzczyć jako antyniemieckie, miał wszystkie określić jako antyhitlerowskie? W każdym razie takich „antyniemieckich” było niewiele. Być może napisałem również artykuły, które po niewczasie wydały mi się śmiechu warte, ponieważ przedstawiały możliwe środki ostrożności przeciw „zagrożeniu niemieckiemu” należącemu do przeszłości.

W każdym razie od momentu wyzwolenia, a właściwie od końca wojny żelazna kurtyna, rozszerzenie granic Polski do linii Odry i Nysy uwolniły mnie raz na zawsze od obrazów przeszłości. Marzenie mojej młodości - pojednanie francusko-niemieckie, na skutek nowych okoliczności dało strategii rozumu drugą okazję; tej nie wolno było przegapić.

Kiedy przybyłem po raz pierwszy do Niemiec w 1946r. nie znośiłem, nie akceptowałem reżimu okupacyjnego. Wstydziłem się bombardowania „strefy”, byłem przeciwny prawom wojennym, które zmieniły w ruiny całe miasta bez efektów militarnych powodując jedynie śmierć ludności cywilnej.

W 1946 roku uczestniczyłem w konferencji zorganizowanej we frankfurckim uniwersytecie. Miasto otaczające uczelnię leżało w gruzach, połowa ocalałej ludności była źle odżywiona. Spotkałem wówczas Hansa Mayer'a, który jeszcze nie przeszedł na Wschód, a którego spotkałem kilka lat temu powracającego na Zachód. To co mnie uderzyło w ówczesnych Niemczech to spojrzenia pełne niechęci skupione na mnie np. wtedy kiedy kupowałem bilet bez kolejki korzystając z przywilejów okupanta. W kilka lat później w Tunisie podobnie odniosłem się do reżimu kolonialnego, mimo, że ten, jeśli porównać go z III Rzeszą, nie zrobił nic złego.

W oparciu o tę analizę, prymitywną może, ale podstawową, systematycznie sprzyjałem Amerykanom i Anglikom w ich inicjatywach zmierzających do położenia kresu polityce burzenia murów waronnych; a więc popierałem stworzenie drugiej, a następnie trzeciej strefy, utworzenie Republiki Federalnej Niemiec oraz jej remilitaryzację, a także zaprzestanie jej dyskryminacji i przyznanie pełnych praw. Dokonywała się ewolucja jaką przewidywałem i jakiej sobie życzyłem /opór Francuzów spowodował w tej sprawie wiele złego/. Należałoby postawić pytanie, czy miałbym rację pomagając w realizacji tego projektu, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Przypomnijmy sobie koncepcję generała de Gaulle'a z lat 1945-47: veto stawiane przez reprezentantów Francji za każdym razem kiedy usiłowano stworzyć jedną administrację nad czterema strefami okupacyjnymi, publiczne deklaracje w roku 1947 potępiające decyzję podjętą przez Wielką Trójkę utworzenia trzeciej strefy, a następnie Republiki Federalnej Niemiec. Nawet w tym czasie Generał odrzucał myśl o Rzeszy; pragnął federacji, która byłaby podobna do Länder. Trzymał się uparcie tezy Bainville'a i Maurras'a, która w koniunkturze lat powojennych wydawała mi się, by nie powiedzieć inaczej, co najmniej anachroniczna. De Gaulle rozumował przynajmniej z pozoru tak jak gdyby Niemcy nadal pozostawały potencjalnym wicherzycielem, podczas gdy tę rolę, bez żadnej wątpliwości, przejął na czas nieokreślony Związek Radziecki.

W zapisie konferencji prasowej z 12 listopada 1947r. odnajduję wyraz tezy de Gaulle'a dotyczącej Niemiec polemizującego z sekretarzem stanu USA generałem Marschallem. Przytoczę tutaj fragmenty najistotniejsze:

„Rekonstrukcja ekonomiczna Europy jest dzisiaj pierwszoplanowym zadaniem tych, którzy chcą zbudować świat w warunkach, które pozwolą nam żyć i być może pozwolą na zachowanie pokoju. Z tego punktu widzenia Francja nie jest przeciwna by to, co stanowiło Niemcy niegdyś nie weszło do kooperacji ekonomicznej koniecznej do stworzenia. Jest oczywiste, że Francja nie powoduje się uczuciem zemsty i nie dąży do wyłączenia tych, którzy są Niemcami z ekonomii europejskiej. Po tym jednak co miało miejsce wielokrotnie, co niemal nie spowodowało śmierci Francji, jesteśmy sobie i innym winni by Niemcy nigdy nie pojawiły się jako zagrożenie. Niemcy muszą się odrodzić jako ludzie połączeni wspólnym wysiłkiem ludzkości, a zwłaszcza wysiłkiem Europy, ale nigdy nie mogą stworzyć nowego zagrożenia. Aby Niemcy nie stanowiły zagrożenia, Francja proponuje środek praktyczny, sprawdzony przez historię i odpowiadający naturze rzeczy - Niemcy nie mogą stać się ponownie Rzeszą, jednolitą potęgą scentralizowaną wokół jednej siły i prowadzącą do ekspansji wszystkimi środkami. „Nie chcemy Rzeszy”.

Generał brał pod uwagę dwie możliwości - zgodę Aliantów na odbudowę Niemiec i jej brak. Ale w obu przypadkach odmowa akceptacji ponownego utworzenia Rzeszy pozostawała nadrzędną cechą polityki de Gaulle'a: „Jeżeli Niemcy mają być podzielone na dwie części to w tej formie muszą być organizowane Niemcy Zachodnie”. Na czym polega ta forma? „Przyszłość Niemiec to nie Rzesza. Mają to być Niemcy odbudowane w oparciu o kraje niemieckie. Nie widzimy żadnych przeciwwskazań do utworzenia federacji tych krajów, w której każdy korzystałby ze swoich praw dawniej zagrożonych przez Rzeszę. Taka Federacja z „kontrolą dla zapobieżenia głu-

stwom”, zwłaszcza kontrola w Zagłębiu Ruhry gwarantująca dostawy przede wszystkim węgla, może stanowić przyszłość Niemiec. Francja nie miałaby trudności ze sformulowaniem traktatów ekonomicznych z tymi krajami niemieckimi”. Traktaty ekonomiczne byłyby podpisywane z poszczególnymi krajami czy z ich federacją? W każdym razie Generał domagał się by Francja „nie oddawała rękoi, którą trzyma w rękach”; inaczej mówiąc nie zgadzając się na fuzję trzech stref okupacyjnych do czasu kiedy istnieje ryzyko ponownego powstania Rzeszy.

Koncepcja Generała przypomina oczywiście poglądy Jacques'a Bainville'a i Akcji Francuskiej, ale samo pojęcie „nigdy więcej Rzeszy” pozostaje dwuznaczne: jeżeli kraje niemieckie stworzą między sobą federację, to w czym taka federacja będzie się różnić, poza wydźwiękiem historycznym słowa, od Rzeszy, która oznacza w roku 1946 czy 1947 wyłącznie informację o utworzeniu państwa niemieckiego? Generał bardzo poważnie traktował zagrożenie Rzeszy. Andre Malraux również. De Gaulle nie zrzekł się odrzucenia Rzeszy o czym świadczyć może deklaracja, którą złożył 9.04.1948r. w odpowiedzi na zalecenia Konferencji Londyńskiej dotyczące zachodnich stref okupacyjnych, a prowadzące w konsekwencji do utworzenia w następnym roku Republiki Federalnej Niemiec. Generał przewidywał, że Rosjanie również zbudują na swój sposób państwo niemieckie. Rywalizację między dwoma państwami uważał za śmiertelne ryzyko dla Francji i pokoju /deklaracja z 9.04.1948r./: „Jedno pytanie będzie stawiała Europa - „która z dwóch Rzeszy stworzy jedność”, ponieważ już postanowiono, że przyszłością Niemiec jest zjednoczenie”. Można przewidzieć jaka konkurencja w nacjonalizmach powstanie między Berlinem, a Frankfurtem i jakie będą reperkusje tej rywalizacji w międzynarodowej atmosferze. Jeżeli wstrząsy, które niechybnie powstaną między Niemcami i między potęgami w konsekwencji dążenia do prymatu każdej z dwóch Rzesz, nie doprowadzą do wojny, można przypuszczać, który z dwóch obozów niemieckich będzie na tyle silny i duży od wewnątrz, dość mocno podtrzymywany od zewnątrz, by w końcowym efekcie wygrać tę partię. Można nawet wyobrazić sobie stworzoną pewnego dnia jedność niemiecką stworzoną ponownie wokół Prus - ale tym razem Prus totalitarnych, związanych ciałem i duszą z Rosją sowiecką i państwami „ludowymi” Europy centralnej i bałkańskiej - ukaże się to zmęczeniu, wypowatości czy złudzeniom anglosasów jako - wyjście „uspokajające”.

Ruhra włączona do Niemiec, brak gwarancji naprawy, niejasne wypowiedzi dotyczące czasu trwania okupacji wojskowej: „Francja znajdować się będzie w stanie permanentnego zagrożenia”. I trochę dalej: „jesteśmy nad brzegiem przepaści”. Po akcie oskarżenia - obiekcie: „Nigdy więcej Rzeszy! Ponieważ Rzesza stanowi autentycznie siłę napędową i instrument dla instynktów władczych Niemiec, zwłaszcza gdyby te instynkty mogły się złączyć z innymi”.

Jeszcze raz Generał nalegał, z większą siłą, na zrealizowanie koncepcji utworzenia „stanów niemieckich”, „z których każdy miałby swoje instytucje, swój charakter, swoją władzę najwyższą, mogących łączyć się w federację między sobą i dochodzących w zgrupowania europejskie, gdzie znalazłyby ramy i środki rozwoju...” Władza zwierzchnia krajów niemieckich i pojęcie federacji wydają się sprzeczne z punktu widzenia znaczenia tych słów. W konkluzji Generał zalecał odrzucenie porozumienia londyńskiego i wznowienia negocjacji.

Nie przyjąłem ani aktu oskarżenia ani zaleceń. Byłem przekonany że podział Niemiec na sowieckie i zachodnie będzie trwał. Zatem rewindykację bezpieczeństwa w stosunku do Niemiec okrojonych i podzielonych wydawały mi się nieaktualne - wobec samych Niemiec Zachodnich wręcz śmiesznie. Natomiast przewidywania nieuniknionej wygranej Niemiec Wschodnich nad Zachodnimi odrzucałem je w tamtych czasach, a wydarzenia późniejsze nie potwierdziły tego zagrożenia aż do dzisiaj. Kiedy generał de Gaulle powrócił do władzy w 1958r. był na tyle inteligentny, że zapomniał o swoich koncepcjach, prognozach zdyskredytowanych przez rozwój sytuacji.

W 1949r. proklamowano Republikę Federalną Niemiec. Prawo podstawowe /das Grundgesetz/ zostało w końcu zaakceptowane przez autorytety okupacyjne. W dyskusjach i deklaracjach z 1949r. Generał podtrzymywał swoje krytyki i tezy. Tymczasem dyskusja nad Paktem Atlantycznym spowodowała krok w kierunku rekonstrukcji Rzeszy. W Stanach Zjednoczonych, ten, który uchodził za najbardziej uroklivego komentatora politycznego, zakwestionował politykę amerykańską w Europie. Walter Lippmann odrzucał politykę stworzoną w oparciu o przekonanie nieuchronności powstania dwóch państw niemieckich. Stwierdzał z nieprawdopodobną

pewnością, że Niemcy nigdy nie zaakceptują by ich teren został podzielony na dwie części.

W trzydzieści lat później lektura artykułów Waltera Lippmanna redagowanych wiosną 1949r. jest lekcją ostrożności dla tych, którzy podejmują niewdzięczną misję reagowania na wydarzenia i wyciąganie wniosków przed ostatecznym rozwojem wypadków.

Zacytujemy kilka fragmentów z tych artykułów, by odtworzyć obrady i dyskusje jakie miały miejsce w tym czasie i by ukazać także i moje stanowisko. W „New York Herald Tribune” z 15.04.1949r. Lippmann stwierdza z pewną arogancją intelektualną, że porozumienie wojskowe zawarte w Waszyngtonie oznacza zaprzestanie okupacji wojskowej Niemiec. „Wszystko to pokazuje, że samorządność i okupacja wojskowa są jak oliwa i woda - nie można ich mieszać! Nie możemy liczyć na Republikę Federalną Niemiec rządzącą Niemcami Zachodnimi tak długo jak długo ją okupujemy. Powinniśmy przewidzieć, że Zgromadzenie i partie, którym nakazaliśmy utworzenie rządu niemieckiego położyć kres okupacji oraz wynegocjować uregulowanie stosunków z Niemcami Wschodnimi, jeżeli my nie jesteśmy w stanie tego przeprowadzić!” W. Lippmann posuwa się jeszcze dalej: „Porozumienie wojskowe nie będzie nawet rozwiązaniem czasowym”.

Dziesięć dni później Lippmann stwierdza w tym samym tonie: „Wolimy nie uznawać podstawowego faktu mówiącego o tym, że Niemcy nie wierzą w naszą koncepcję zachodniego państwa niemieckiego... Jeżeli im narzucimy takie państwo, wykorzystają je jak najlepiej stosując maszynę rządową do likwidacji czy anulowania naszej kontroli i ustalenia ich własnych sposobów porozumienia RFN z rządem sowieckim... Jeżeli nie możemy wynegocjować porozumienia niemieckiego za zgodą czterech potęg, Rosjanie będą realizowali inną politykę w bezpośrednich negocjacjach z Niemcami”.

W następnym miesiącu Lippmann posuwa się jeszcze dalej w swej pomysłowości. Ponieważ Republika Federalna Niemiec wbrew prze powiedniom mistrza od myślenia, uparła się narodzić, komentator nieustraszonego znajduje w swej wyobraźni sekretne przyczyny rzeczywistości pozostającej w sprzeczności z jego wyobrażeniami: „Obrady parlamentarne w Bonn stają się jasne pod warunkiem przyjęcia do wiadomości, że towarzyszą im tajne negocjacje między Niemcami Wschodnimi i Zachodnimi. Te pierwsze są w kontakcie z Sowietami. Obrady te są zrozumiałe, jeżeli odrzucimy tezę, że nadrzędnym celem Rosjan jest rozpowszechnienie komunizmu i zastąpimy ją założeniem, że podobnie jak w przyszłości może nastąpić porozumienie rosyjsko-niemieckie opierające się nie na ideologii, a na interesie narodowym, państwowym. Zakończymy to cytowaniem zdaniem z artykułu z 20.05.1949r.: „Konstytucja Bonn jest niewątpliwie dokumentem dwuznacznym, jeżeli weźmie się pod uwagę negocjacje z Rosjanami...”

Dlaczego człowiek wykształcony, tak inteligentny mógł się do tego stopnia pomylić? Dlaczego, by do końca podtrzymywać swoje błędne wypowiedzi, wyobraził sobie tajne negocjacje Ulbrichta z Adenauerem? Przecież ewentualność ta, jeżeli ktokolwiek znał choć trochę tych dwóch ludzi, musiała być uznana za absurdalną. Powód takiego rozumienia Lippmanna jest prosty: nie chciał on widzieć faktów i ludzi, ponieważ ani fakty, ani ludzie nie przystąpili do jego koncepcji, do jego widzenia Historii - fakty i ludzie pozostawali w sprzeczności z jego tezą o wyższości narodu nad ideologią. Podobnie my odczuwając siłę więzi ideologicznej w komunizmie popelniliśmy podobny, chociaż odwrotny błąd za późno dostrzegając schizmę sowiecko-chińską lub bagatelizując jej powagę.

Upieranie się przy błędach przez Lippmanna jest dzisiaj jeszcze bardziej niezrozumiałe. Wystarczyło zwrócić Niemcy by uniknąć pewnych nieporozumień. W 1950r., przy okazji wizyty kanclerza, dałem we Frankfurcie wykład dla studentów niemieckich /już o tym wspominałem/. Rozwinałem wówczas tezę mówiącą o tym, że podział Niemiec jest nierozłączny z podziałem Europy. Stwierdziłem, że jeden fakt będzie miał miejsce tak długo jak drugi. Nazajutrz, komentując przychylnie moje wypowiedzi „Frankfurter Allgemeine” zarzucił mi obarczenie Niemców Zachodnich troskami ich rodaków ze Wschodu. Klęska Niemiec była do tego stopnia totalna, warunki życia stały się tak trudne, że Niemcy Zachodnie odrzucili koncepcje rekonstrukcji ich państwa, myśląc jedynie o ujednoliceniu, które uznawali za jeszcze niemożliwe. Wydaje się prawdopodobne, że część Niemców patrzyła sceptycznie na odbudowę Republiki w cieniu okupacyjnych armii. Jednakże nikt, albo prawie nikt, nie marzył o sekretnych rozmowach między sekretarzem Zjednoczonej Partii

Robotniczej Niemiec Wschodnich, a kanclerzem Adenauerem-przewodniczącym Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej. Być może fakt kierowania Partią Chrześcijańsko-Demokratyczną przez Nadreńczyka obojętnego na tradycje pruskie ułatwił utworzenie RFN, w której katolicy niemal zrównali się liczebnie z protestantami. W każdym razie cóż mogli uczynić Anglicy i Amerykanie, wobec niemożliwości wspólnych ustaleń Czwórki, jeżeli nie doprowadzić do utworzenia Niemiec Zachodnich? RFN, jeszcze dzisiaj, trzydzieści lat później pozostaje wierna sojuszowi atlantyckiemu i nie poświęca swej wolności mirażowi połączeniowemu, mimo, że socjaldemokracja, od początku nieprzychylna utworzeniu RFN, znowu jest czuła na kuszenie ze Wschodu.

Znam urzędników francuskich, którzy dyskutowali z Rosjanami w latach 1945-46 nadal przekonanych, że zerwanie jest nieuniknione.

Niektórzy historycy upierają się przy odpowiedzialności Francuzów, którzy stawiali zdecydowane veto, gdy chodziło o pryncypia ustalone w Jaltie i Poczdamie mówiące o administracji centralnej w Berlinie nad czterema strefami okupacyjnymi. Z całą pewnością Francuzi ułatwili sprawę Sowietom, ale ówczesna rzeczywistość nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Sowietci przywieźli ze sobą komunistów niemieckich przeznaczonych do rządzenia krajem, swoje postępowanie oparli na zasadzie tworzenia faktów dokonanych. Dwa z tych faktów miały zarazem wartość symboliczną i polityczną: połączenie partii socjalistycznej i komunistycznej z jednej strony kolektywizacja rolnictwa z drugiej. Pierwszy wymiar zapowiadał likwidację pluralizmu partyjnego, nawet, jeżeli w przepisach prawa, na papierze partie niekomunistyczne powstawały; drugi zapoczątkował porządek społeczny na wzór sowiecki. Nic podobnego nie miało miejsca w okupowanej strefie sowieckiej w Austrii. Dlatego cały czas wierzyłem w połączenie Austrii, a nigdy w połączenie Niemiec.

W 1947r. rząd francuski przyłączył się do polityki anglo-amerykańskiej uczestnicząc w przekształceniu trzech stref w Republikę Bonn. Wydaje się ciekawe, że decyzja Francuzów została spowodowana przez odmowę Stalina poparcia francuskich roszczeń rewindykacyjnych dotyczących Saary, a mianowicie przyłączenia basenu węglowego do ekonomicznej struktury Francji /kto dzisiaj interesuje się Saarą?/. Być może G. Bidault skorzystał z okazji wyjścia z impasu w jaki wpędził Francję generał de Gaulle paraliżując odbudowę Niemiec żądaniem zachowania środków ostrożności i ukarania Niemców, żądaniem, których nie mógł w najmniejszym stopniu narzucić.

Pierwsza wielka dyskusja wybuchła po wojnie w związku z Paktem Północnoatlantyckim i problemem neutralności. Dwie te sprawy zajął się co prawda o siebie, ale trudno je było traktować jako nierozdzielnie związane z sobą. Dyskusja nad neutralnością rozwijała się /nie bez gwałtaniny/ między Etienne Gilsonem z „Le Figaro” /również ze mną/, między Hubertem Benve-Mery i Pierre Brisson.

Ci, którzy żyli w czasach wojennych pamiętają „afere Gilsona”, której poznałem jedynie kilka aspektów i w którą zostałem włączony wbrew mojej woli. Zatrzymajmy się przede wszystkim przy tekstach. E. Gilson opublikował w „Le Monde” kilka artykułów, z których posiadam trzy. Pierwszy z 25.12.1948r. zatytułowany „Naród sprawiedliwy”, drugi z 2.03.1949r. „Alternatywa” i trzeci z 6/7.03.1949r. „Dwuznaczność”. W pierwszym atakował ostro prasę amerykańską za sposób w jaki traktowała Francję. Amerykanom podobało się skrywać swoje oportunistyczne decyzje za argumentami natury moralnej. I tak np. a propos Chin: „Jest rzeczą nie mniej ciekawą obserwowanie jak gazety i pisma przystępują do moralnej egzekucji Chin i udowadniają, że należy pozostawić tych barbarzyńców w walce z innymi barbarzyńcami. Nie wystarczy, że jest to sprawa przegrana, trzeba by była to zła sprawa. A przecież najprościej byłoby powiedzieć, że sprawa nie może być uratowana. Zamiast tego udowadnia się z pasją, że w ogóle nie zasługiwała na istnienie. Czyny



się tak dlatego, ponieważ czuje się, że można było wpłynąć na rozwój sytuacji i ponosi się odpowiedzialność za aktualny stan tej sprawy". Analogiczne komentarze miały miejsce w czasie ostatniej fazy wojny w Wietnamie.

Gilson znajdował w prasie amerykańskiej pierwsze sygnały „rozluźnienia” w stosunku do Francji czy Europy: „Można nas pozostawić, ponieważ jesteśmy niepotrzebni, ale w sytuacji kiedy zaczyna się udowadniać, że jesteśmy winni należy to uznać za pewny znak, że zamierza się nas porzucić”. Również filozof wyrażał odczucia francuskie: żeby podsumować: „W 1914r. i w 1939r. byliśmy na pierwszej linii. Jesteśmy na tyle zepsuci, że nie chcemy wytrzymać ciosu takiego jak w 1939. Jeżeli będzie miała nastąpić kolejna wojna światowa, to przyczółek nie będzie ani francuski, ani angielski, ani niemiecki. Przyjdzie kolej na Stany Zjednoczone”.

Odczucia i podsumowanie całkowicie uzasadnia, tyle tylko, że Stany Zjednoczone korzystają z dobrodziejstwa geograficznego, które zawdzięczają naturze, a nie przebiegłości czy egoizmowi. USA nie ponoszą również odpowiedzialności za wojnę w 1914r.: Europejczycy sami wdali się w konflikt wojenny, z którego Stany Zjednoczone znalazły wyjście przez swoją interwencję, ale w którym nie brały ani moralnie ani politycznie udziału. Czy trzeba wypominać, że przybyli za późno, albo przypominać sobie, że bez nich przegralibyśmy wojnę? W 1939r. Hitler nie zagrażał Stanom Zjednoczonym tak jak zagrażał Francji i W. Brytanii.

Pytanie stwierdzone w 1949r. stawiane jest podobnie: zagrożenie sowieckie ciąży najpierw na Europejczykach, czy najpierw na USA?

Drugi artykuł dotyczył samego paktu Atlantycznego i zawierał jasno sformułowane obiekcje stawiane przez wszystkich przeciwników sojuszu: Stany Zjednoczone wypełniają swoje zobowiązania, ale nie czynią niczego więcej. Sformułowania użyte przy redagowaniu traktatu są wystarczająco mgliste, aby zostały zaakceptowane przez Senat amerykański; nie mają przy tym żadnej wartości ani dla samych Amerykanów ani dla Sowietów: „Kiedy niebezpiecznie nawiązywał M. Vandenberg zapewnia, że zwykle rozpoznanie formalne „wspólnoty zainteresowań na wypadek ataku zbrojnego przeciw wspólnocie atlantyckiej” będzie cennym zabezpieczeniem przed wybuchem wojny, ludzie się sądząc, że Rosjanie nie rozumieją równie dobrze jak my sensu tego punktu”.

W tym momencie następuje konkluzja: „Nie mamy innego wyboru jak tylko militarne, a nie moralne, zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych; natomiast jeżeli USA odmówią bicia się za Europę - co jest ich prawem, powinna nastąpić nasza odmowa poświęcenia się za Stany Zjednoczone - co jest naszym prawem”. Rok później podpisanie paktu zmieniło zaangażowanie moralne Stanów Zjednoczonych w zaangażowanie militarne poprzez stworzenie NATO. W każdym razie sformułowanie Gilsona: „Stany Zjednoczone kupują naszą krew za dolary” wydaje się przesadzone. Europa czuła się, słusznie czy nie, zagrożona przez Związek Radziecki; to ona prosiła o opiekę Stany Zjednoczone. Czy wystarczyłoby zerwać więzi z USA by zapewnić sobie bezpieczeństwo?

Trzeci artykuł z 6/7.03.1949r. dotyczył zawartości paktu. Senat nie chce aby Stany Zjednoczone były zmuszone traktatem do militarnej odpowiedzi na zbrojną agresję w rejonie Północnego Atlantyku. Gilson podejmuje myśl, która znajduje odzwierciedlenie w całym tekście, a także w pismach mężów stanu i artykułach komentatorów „nie chcemy trzeciej inwazji z Zachodu której koszty sprawiają, że dwie poprzednie okazały się czymś zabawnym”.

Doktrynę neutralności, bardziej jeszcze niż Etienne Gilson, reprezentuje Hubert Benvel -Mery. Mówiąc ściślej jest przedstawicielem opozycji wobec paktu Atlantycznego i szerzej wobec przynależności Francji do bloku anglo-amerykańskiego. Pochodzenie naszego sporu sięga końca wojny. Warunki okupacji sowieckiej w Europie Wschodniej, w tym w strefie niemieckiej, przekonały mnie szybko, że wojska sowieckie pozostaną na linii demarkacyjnej, chyba, że zostaną odepchnięte /co nie wydaje mi się prawdopodobne/. H. Benvel -Mery zaraz po rozbięciu III Rzeszy powątpiewał w to co ja wówczas zapowiadałem, a mianowicie w uzyskanie przez każdego z Wielkich jednego kawalka Niemiec. Nawet przed końcem wrogości w Europie teksty H. Benvel -Mery, redagowane w czasie okupacji i rozpowszechniane przez „Reflexions politiques” 1932-1952, ukazywały myśl polityczną, która inspirowała zajęcie stanowisk dyplomatycznych.

Znajdujemy w tym zbiorze raport zredagowany nie przez H. Benvel -Mery lecz przez jednego z jego przyjaciół, który jeździł tam i z

powrotem między Francją i Algierią. Wybrałem z tego raportu następujące fragmenty: „Amerykanie stanowią prawdziwe zagrożenie dla Francji”. To zagrożenie ma inny charakter niż to, które groziło nam ze strony Niemiec i jakie grozi nam ewentualnie ze strony Rosjan. Jest ono zagrożeniem natury ekonomicznej i moralnej. Amerykanie mogą nam przeszkodzić w zrobieniu rewolucji. Ich nacjonalizm nie ma nawet tragicznej wielkości materializmu totalitarnego. Jeżeli zachowują oni prawdziwy kult dla idei wolności, to nie odczuwają ani przez moment potrzeby uwolnienia się od zależności jakie pociąga za sobą kapitalizm. Wydaje się, że nadużycie dobrobytu zmniejszyło w nich potęgę witalną w sposób niepokojący”. Hubert Benvel-Mery zaczynał swój raport od następujących słów: „Nie mam nic do zarzucenia temu świadectwu, które pozwalała przyniknąć zarys przyszłej polityki i zrozumieć konieczność rewolucji wewnętrznej, która w kluczowe elementy rewolucji nacjonalistycznej i rewolucji komunistycznej wciela konieczność szerokiej organizacji międzynarodowej typu federalnego umożliwiającej wolny rozwój każdej grupy. Jest to droga trudna, usiana przeszkodami i różnego rodzaju rozczarowaniami, prowadząca jednakże w kierunku coraz większej wolności i jednocześnie coraz większej jedności; jest to droga umożliwiająca powolne wstępowanie na tor humanizmu XX wieku”.

Koncepcja ta, powstała z inspiracji demokratyczno-chrześcijańskiej, bliska tej z „Esprit”, była raczej ideologiczna niż historyczna. Skazywała ona dyrektora „La Monde” na opozycję niemal permanentną, ponieważ wydarzenia biegły zupełnie innym torem. Podział Niemiec pociągał za sobą podział Europy i przekreślał tym samym ideę neutralności.

Od 19.10.1945r. w tygodniku „Temps present” H. Benvel -Mery formułował w sposób całkowicie jasny cel jaki stawiał Francji, a nawet Europie: „Organizacja zachodniego porozumienia o wadze porównywalnej ze Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, usytuowanego geograficznie, ekonomicznie i politycznie w pół drogi między tymi dwoma potęgami, byłaby normalną, logiczną, pożądaną i korzystną dla wszystkich wygraną. Pod jednym wszakże warunkiem: że nowa organizacja będzie tak samo niezależna od Waszyngtonu, jak i od Moskwy”. Obserwując formujący się stopniowo pakt atlantycki H. Benvel -Mery wysuwał przeciwko tej koncepcji trzy główne zarzuty: nie lubi Stanów Zjednoczonych i ich polityki ekonomicznej, a w szczególności „sprzeciwiania się ogólnej niemożności liberalnego kapitalizmu, który definitywnie wzbudził wstręt licznych grup w Europie”. Na drugim miejscu stawiał swoje obawy dla jedności Francji, której miało zagrażać dokonanie wyboru na rzecz jednego z obozów. „Podział Europy podporządkowuje Francję wysiłkowi, który wyklucza w efekcie każdą prawdziwą rekonstrukcję”. „Francja nie może a nie powinna optować za kapitalizmem amerykańskim, którego wady zna i któremu przyszłość szykuje bez wątpienia przykrości mogące zaszkodzić kapitalizmowi europejskiemu”. I na koniec twierdził, że przynależenie Francji do jednego z obozów powiększyłoby zagrożenie wojenne. „Może Europa nie posiadać środków do zapobieżenia wojnie. Jest jednak prawie pewne, że ją przyspieszy jeżeli wejdzie w skład jednego czy drugiego obozu”. /To zadanie, po upływie ponad 35 lat, wydaje się jeszcze bardziej absurdalne niż w czasach kiedy zostało napisane/.

Od 1948r. H. Benvel -Mery nie robił sobie więcej złudzeń: „Jest mało prawdopodobne żeby Europa pozostała naprawdę europejską. Przeciwnie jest bardzo prawdopodobne, że zamerykanizuje się z powodu aktywności, bogactwa i siły Amerykanów. Ale zamerykanizuje się również z powodu samych Europejczyków nazbyt skromnych do przyciągania tego co powinni i mogli zwalczać...” Trochę dalej: „Wolności, które daje dolar są cenne...Religie, historia, zamilowanie do dobrobytu i do wolności popychają zagrożony Zachód w stronę Ameryki...”

Po ostatniej analizie tylko wybierać - dyrektor „Le Monde” wybrał Zachód mimo, że jego antyamerykańska fobia skłaniała go do częstego krytykowania nikczemności amerykańskiego kapitalizmu przesłaniając mu równocześnie okrucieństwa totalitaryzmu sowieckiego. Pozwalał sobie nawet na określenie mianem „zawodowych antykomunistów” tych, którzy przypominali zbrodnie Stalina ujawnione w kilka lat później przez Chruszczowa.

W 1949r. wydarzenia potoczyły się w przeciwnym kierunku niż koncepcje H. Benvel -Mery’ego. Neutralność Europy wydaje się nie możliwa. Opinia ta pojawia się tu i ówdzie, w komentarzach dotyczących paktu atlantyckiego podpisanego w pierwszą rocznicę

planu Marshalla. H. Beuve-Mery oceniał pak Atlantycki jako prowokacyjny w stosunku do Związku Radzieckiego i dwuznaczny w sformułowaniach, ponieważ nie gwarantował natychmiastowej interwencji sił amerykańskich w Europie: „Pakt Atlantycki jest również pomyłką. Negowanie, że fakt ten musi stworzyć warunki do ponownego uzbrojenia Niemiec i silnie niepokoić Rosjan dostarczając równocześnie tym ostatnim wspaniałego materiału do propagandy, jest niczym innym jak zaprzeczeniem oczywistości”. /13.12.1949r./

Odpowiadałem wielokrotnie E. Gilsonowi i H. Beuve-Mery'emu. W sumie w tonie uczciwej dysputy bez ekscesów polemicznych: najpierw w artykułach w „Le Figaro” /21.12.48, 21.2.49, 23.2.49, 21.3.49, 17.2.50r./; następnie w przeglądzie „Liberte de l'Esprit” /kwiecień 1949 i wrzesień 1950r./

Początkowo, w 1948 i 49r., źle rozumiałem gwałtowne reakcje skierowane przeciwko paktowi Atlantyckiemu. Jeszcze mniej rozumiałem wrogość wobec planu Marshalla - zwłaszcza ze strony Francuzów nie zafascynowanych przecież w żaden sposób przez stalinizm. Czy mogłem przed podpisaniem paktu podjąć usiłowanie zredukowania jego zasięgu opierając się nie na strategii ale na przekonaniu:

„W najbliższej przyszłości sytuacja nie ulegnie poważniejszym zmianom. Wszyscy, z Moskwą na czele, zdają sobie sprawę z faktu, że agresja militarna skierowana na Europę Zachodnią spowoduje zbrojną reakcję Stanów Zjednoczonych; obecność oddziałów Armii Amerykańskiej w Niemczech daje gwarancję reakcji i umacnia powyższe, powszechne przekonanie”.

Przypomniałem błąd popełniony przez Amerykanów wkrótce po zwycięskim zakończeniu II Wojny Światowej. Plan Marshalla sprzyjał i przyspieszał restaurację Europy Zachodniej; Pakt Północnoatlantycki spełniał podobną funkcję poprzez zezwolenie na ponowne uzbrojenia w Europie. Miało to istotne znaczenie ze względu na prowadzone wówczas negocjacje ze Związkiem Radzieckim. Nie zalecałem ponownego uzbrojenia „limitowanego”: „Nie można przypierać do muru proroków konkurencyjnej religii, nie wolno doprowadzać do desperacji władców wielkiego cesarstwa, jak również nie należy pobudzać ich do czynu przez okazywanie słabości”. Zakończyłem ten artykuł formułą zadziwiającą z dzisiejszej perspektywy: „Tak samo plan Marshalla, jak i Pakt Atlantycki stawiają sobie za cel najwyższy być niepotrzebnymi”.

Ponad trzydzieści lat później Pakt Atlantycki odrodził się - osłabiony, ale niezbędny.

W 1949r. artykuł E. Gilsona, który streściłem wyżej, rozpętał jedną z wielkich debat, których Francuzi są tak spragnieni.

Starałem się wyrazić moje opinie oparte o racjonalne przesłanki w artykule opublikowanym w rezultacie w „Liberte de l'Esprit”.

Gaullistowska redakcja wahała się początkowo czy opublikować dostarczony jej materiał. Potem okazało się, że sam General, po lekturze mojego artykułu, przynajmniej po części zaakceptował wyrażone w nim opinie.

Czy tym artykułem skłoniłem Generala de Gaulle'a do tego by nie zajmował stanowiska wrogiego Paktowi Atlantyckiemu? Jest to możliwe w świetle relacji Claude'a Mauriac opublikowanych w książce „Un autre De Gaulle, journal 1944-1954”. /Inny De Gaulle, dziennik 1944-1954/.

17 marca 1949r. Claude Mauriac rozmawiał z Generalem o „artykule, który przesłał do mnie Raymond Aron jako trzeci odcinek poświęcony Paktowi Atlantyckiemu. W kilku słowach zreferowałem najważniejsze kwestie, ponieważ obawiałem się by opinie wyrażone przez Arona nie stały w opozycji do polityki de Gaulle'a i Francji. Chodzi o dosadną krytykę dwóch artykułów Etienne'a Gilsona, w których oskarżał Amerykanów o chęć kupienia za dolary francuskiej krwi. Dalej Gilson zarzucał Paktowi Atlantyckiemu, że nie daje żadnej

gwarancji Francuzom jeżeli chodzi o moment i miejsce interwencji amerykańskiej w razie inwazji rosyjskiej na Europę Zachodnią.

„ - Ależ oczywiście Pan Gilson ma rację - wykrzyknął General - trzeba to dobrze zrozumieć: Ameryka jest krajem odizolowanym przez prosty fakt, że jest wyspą. Nigdy nie czuła się solidarna z Europą od której jest oddzielona ogromną przestrzenią wody. Podczas wojny w 1914 i 1940 Amerykanie nie dlatego interweniowali, że Paryż był zagrożony. Gdyby wówczas był okupowany Londyn wyrażali by podobne współczucie jak nam. Jeżeli Paryż miałby być okupowany przez Armię Radziecką to Ameryka wypowie wojnę nie po to by wyzwolić Londyn czy Paryż. USA wybiorą godzinę w odpowiednim dla siebie czasie. Przecież w Pakcie Atlantyckim bardzo uważali, by nie zaznaczyć kiedy i gdzie armie amerykańskie zainterweniują. Podłożem całej sprawy jest to, że Amerykanie uważają, że z ich aktualnym uzbrojeniem nie muszą się fatygować i że w sposób relatywnie spokojny przeprowadzą wojnę nie ruszając się od siebie za pomocą swoich latających fortec, swoich rakiet itp. To, że Paryż i Francja byłyby okupowane przez Sowieców, byłoby dla nich faktem pożałowania godnym, ale nie byłoby to fakt wystarczający dla spowodowania lądowania wojska amerykańskiego”.

Kilka dni później Claude Mauriac był przekonany, że General przedstawi mu poważne zastrzeżenia „co do stosowności ukazania się tekstu w „Liberte de l'Esprit” w takiej postaci. Byłem zaskoczony słowami jakimi przyjął mnie General:

„ - No więc, wcale niezły jest ten artykuł”.

„Prawdą jest, że General wyraźnie zmodyfikował swoją koncepcję dotyczącą Paktu Atlantyckiego w ciągu kilku dni”.

„Kiedy zapowiedział, że mi wyjaśni o co chodzi, powiedziałem sobie, że z pewnością zapomni, dawał mi przez dłuższy czas poznać swój punkt widzenia i że najprawdopodobniej usłyszę podobny do poprzednich wywód. Ale nie zrobił niczego takiego.

„ - Jest pewne, że Raymond Aron ma rację akcentując fakt, że ten Pakt, nawet bez dokładnego sprecyzowania zaangażowania Amerykanów, stawia sobie za cel danie do myślenia Stalinowi. Nie twierdzę, że on zaniecha agresji, ale teraz wie, że jeśli zajmie Europę Zachodnią będzie miał wojnę. Więcej nawet, możemy być przekonani, że gdyby taki pakt istniał w 1939r. Hitler najprawdopodobniej nie zdecydował by się na inwazję na Polskę. Oczywiście byłoby rzeczą pożądaną, co Aron podkreśla, żeby fakt istnienia Francji silnie zmniejszał dodatkowo prawdopodobieństwo wybuchu wojny. Leży w interesie Queuille'a i jego ekipy spowodowanie byśmy uwierzyli, że Pakt w jego obecnej postaci jest panaceum na wszystko. Niemniej faktem jest, że Pakt taki jaki istniał, jest lepszy niż jego całkowity brak. I tutaj Raymond Aron bardzo dobrze uczynił ukazując słabość argumentacji Gilsona”.

Pod koniec rozmowy General podsumował:

„Wie pan teraz co sądzę o sprawie. Ma pan swobodę decyzji. Może pan opublikować lub nie ten artykuł, ale nie chciałbym by Raymond Aron sądził, że nie aprobuję jego pozycji”.

General nie chciał uchodzić w moich oczach za cenzora. Nie chciał, by mój artykuł został odrzucony, ponieważ nie zgadzał się z jego opiniami. Trzeba tutaj powiedzieć, że pierwsza tyrađa skierowana przeciwko Paktowi Atlantyckiemu i izolacjonizmowi amerykańskiemu była do tego stopnia oddalona od rzeczywistości, że General prawdopodobnie nie podtrzymywałby dłużej takiej niedorzeczności by jego interlokutor nie zarzucił mu braku zdrowego rozsądku. W każdym razie faktem jest, że zaakceptował Pakt Atlantycki ubolewając równocześnie nad redakcją Traktatu. Dziesięć lat później myślał już zupełnie co innego o tej redakcji.

Raymond ARON

* *Le partage de l'Europe*, /w:/ R. Aron, *Memoires*, Julliard, Paris 1985



Numer zamknięto 10.03.1992 r. Wydawca: Wydawnictwo „WiS”. Redaguje zespół: Krzysztof Brzechczyn, Maciej Frankiewicz, Romuald Lazarowicz, Zbigniew Rutkowski (red. prowadzący). **Adres redakcji: 61-120 Poznań 22, skr. poczt. 59.** Stałe punkty kolportażu: Poznań — Klub „WiS” ul. Górna Włda 106, pon-piät. w godz. 10 - 18, tel. 33-00-91; Wrocław — Biuro Partii Wolności ul. Kotlarska 41 III p., tel. 38-236, Łódź - Klub „WiS”, ul. Próchnika 1, I p. pon - środa 17-18.30. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. **Prenumerata:** półroczna (gwarantuje otrzymanie 6 kolejnych n-rów od daty wpłaty) — cena 25.000 zł, roczna (12 n-rów) — 45.000 zł. Prenumerata zagraniczna roczna: zwykła 12\$, lotnicza 25\$. Przekazy pocztowe (z dokładnym adresem prenumeratora i ilością zamawianych egz.) prosimy kierować na adres wydawcy: Wydawnictwo „WiS”, 61-655 Poznań ul. Gromadzka 23.